

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie



Tylko u nas: Mała uliczka w Głogowie. 232 metry długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Co sprawiło, że większość z nich żyje jak wielka rodzina? W czym tkwi fenomen ulicy 10-go Maja w Głogowie. Str. 16-19



kurier lubelski

Piątek-Niedziela 10-12.10.2025 | Nr. 121 (18.142) | Cena 5,50 zł (w tym 8% VAT) | www.kurierlubelski.pl

MESKO dostało rządowe wsparcie. Nowa inwestycja zbrojeniowa w Kraśniku **str. 4**



Siatkarskie emocje w hali Globus. Jutro startuje Bogdanka Volley Cup **str. 32**

Balon z kontrabandą wylądował na polu w powiecie tomaszowskim **str. 3**

Nr ISSN 2353-6136

Nr indeksu 350-32X



Aby grzybobranie nie skończyło się chorowaniem... Trzeba się na tym znać albo radzić się specjalistów. Polacy zbierają grzyby dla samych grzybów, albo dla kontaktu z naturą, czasami chcą się po prostu w lesie wyciszyć i odstresować. Sezon na grzyby jest w pełni **str. 3 i 10**

Wojciech Smarzowski: Wierzę w to, że film może coś w nas zmienić, bo inaczej nie wyciągałbym kamery **str. 20**

Zmarła Patricia Routledge. Jako pani Bukietowa w serialu „Co ludzie powiedzą?” wspięła się na wyżyny umiejętności aktorskich i komediowych **str. 22**



Dla kogo 1500 zł dopłaty do rachunku za ciepło? Trzeba spełnić określone przez ministerstwo kryteria **str. 4**



Lotnicza Akademia Wojskowa w Dębli nie powstała sto lat temu. Dziś studiuje tu 2,5 tys. osób, cywilów i wojskowych **str. 3**

Anna Czerny-Marecka

TEN CHOPIN NIE JEST OBJĘTY
NOCNĄ PROHIBICJĄ

J eżeli pokażna grupa Polaków usypia z dźwiękami Walca Es-dur w głowie, a budzi się „słyszac” Fantazję f-moll, jeżeli w nocy rodacy spierają się ze znajomymi na komunikatorach, czy lepszy był Li, czy może Lee, to znak, że właśnie trwa kolejny Konkurs Chopinowski w Warszawie. I to jest cudne, wspaniałe, orzeźwiające. Po prostu gra muzyka! Raz na pięć lat wszyscy melomani, wielbicieli muzyki klasycznej, przestają czuć się jak margines muzyczny. Wreszcie media, te publiczne, te prywatne, i te społecznościowe są ich. Bo na medialnym straganie w dzień konkursowy takie toczą się rozmowy:

- Omdlałam, ten Walc As-dur w wykonaniu X był genialny! - O nie, Y zagrało lepiej, X nie umie w rubato! - Ale Y miał błędy tekstowe! - Parę nietrafionych nutek jury nie weźmie pod uwagę przy tak fantastycznej muzykalności! Słyszalas frazowanie X? No Chopin płynął! - Ale dynamikę Y miał bardziej zniuansowaną!

I grają pianiści Chopina w warszawskim tramwaju i w Sejmie, a jakiś meloman programista tworzy tabelkę w Excelu, angażując AI do wróżenia z nut, kto wygra. I leczę na Facebookach i Instagramach, nawet na zdawkowym X fotki, fragmenty nagrań, ochy i achy. I podziw dla jurorów, że umieli wybrać do drugiego etapu tylko czterdzieścioro pianistów z ponad osiemdziesięciu, bo przecież poziom w tegorocznej edycji wystrzelił w kosmos. I wkurzenie na jurorów, bo nie przeszedł ten/ta, którego/którą już widzieliśmy w finale. Prawda, że powinien dalej grać Mateusz Dubiel?

Chopin spłynął pod strzechy. Jeżeli widzicie kogoś, kto pracuje w urzędzie, firmie, nawet w sklepie w słuchawkach na uszach, jest duże prawdopodobieństwo, że właśnie słucha Konkursu na żywo. Jeżeli ma odpowiednie ku temu warunki, to nie tylko słucha, ale i dyskutuje na czacie z całym światem i ogląda, ogląda, ogląda...

A jest na co popatrzeć. I jacy oni są wszyscy ładni! Nie zawsze poza sceną, kiedy udzielają wywiadów czy pozują do zdjęć, natomiast zawsze, kiedy grają. Przepoczwazają się, gdy płynie przez nich muzyka Chopina.

Kiedy już patrzymy, nie da się nie zauważyć, że większość uczestników Konkursu Chopinowskiego to Azjaci. Reprezentują Chiny, Japonię, Koreę Południową, Tajwan, Malezję, a w tej edycji także USA czy Kanadę. Jakże ciekawie jest uczyć się, słuchając ich recitali, odróżniania cech wyglądu zależnych od narodowości (bo Azjaci różnią się między sobą tak jak my, Europejczycy), jak uważnie trzeba czytać imiona i nazwiska, żeby zapamiętać i odróżnić od siebie dwóch panów Chen, trzech Lee i troje chińskich pianistów Li.

Już dawno między bajki można włożyć pokutującą niegdyś wśród znawców opinie, że Azjaci grają Chopina perfekcyjnie tylko i wyłącznie technicznie, nie oddając ducha muzyki. To krzywdzący stereotyp. Są nie tylko biegli w palcach, ale i niezwykle muzykalni i świadomi niuansów interpretacyjnych. I chociaż moje melomańskie serce bije przede wszystkim dla Polaków, podziwiam Azjatów wyjątkowo, bo mieli do Chopina najdalszą drogę. Wszak wychowani zostali w innej kulturze, także muzycznej. Słyszeli w dzieciństwie inne dźwięki, inne akordy, tworzone w innych systemach tonalnych. Musieli się tego Chopina nauczyć nie tylko jako kompozytora, ale i człowieka. A przy tym polskiej kultury, w której Chopin jest tak mocno zanurzony. Ba! Wielu z nich uczy się, i to z powodzeniem, polskiego języka. A my puchniemy z dumy. Patriotycznie i narodowo, a przecież także światowo. Wreszcie mamy ku temu prawdziwy powód. Konkursie Chopinowski, trwaj, jesteś piękny!

PS Jeżeli kogoś dziwi tytuł, to wyjaśniam, że Chopin trafił nie tylko pod strzechy, ale i do sklepów monopolowych, gdyż jego imieniem nazwaną wódkę. Być może pomysł ten (dla mnie słaby) inspirowany był słynną frazą z „Wesela” Wyspiańskiego: „Chopin, gdyby jeszcze żył, to by pił”.

Adam Bula

CZARNEK SPUSZCZONY
Z ŁAŃCUCHA

P oczątek października zapisze się w historii Polski doniosłym faktem, że Przemysław Czarnek z PiS znalazł jeszcze w Polsce wieś, gdzie wypasione za eurodopłaty chałupy nie są - co do jednej - ogrodzone wypasionymi ogrodzeniami. Dzięki czemu Czarnek może być za trzymaniem psów na łańcuchach, żeby mu kostek nie obgryzały, jak po tej wsi jeździ na rowerze.

Występ byłego ministra edukacji jest typowym przykładem rozwijanej u nas sztuki komunikacji, polegającej na tym, że jak ci się zdarzy - chłopie - powiedzieć coś głupiego, to się nie przejmuj, tylko zacznij wmawiać całej reszcie, że to ona jest głupia. Jak nie zadziała, to dopiero możesz powiedzieć, że nie powiedziałeś tego, co powiedziałeś. Ostatecznie, jak już jest bardzo srogo - na wszystkie kolejne pytania w temacie zacznij odpowiadać: ale Polsce grozi inwazja Tuska z kosmosu. Albo cokolwiek, byle też na Tuska.

Czarnek, w swej roli twardego zawodnika brońącego tradycyjnych wartości umyślił sobie zatem, że powie coś w kontrze do przyjętego właśnie w Sejmie zakazu trzymania psów na łańcuchu. I odpalił w radio ZET obiektywnie koszmarnie głupawą historyjkę:

- Ja, jak jeżdżę na rowerze, to jestem szczęśliwy, kiedy widzę psa uwiązanego na łańcuchu, a nie psa, który biega luzno. Pies uwiązany na łańcuchu ma przy sobie również miskę z wodą, ma przy sobie jedzenie, ma budę i nie zagraża nikomu, kto przejeżdża - powiedział były szef resortu edukacji.

Czarnek łże tu jak pies, no chyba że nie jeździ po wsiach tylko po skansenach wsi polskiej. Nawet na Lubelszczyźnie nie ma już opcji, by wiejskie zagrody nie miały wmurowanego w ziemię albo chociaż postawionego na betonowych cokołkach ogrodzenia z siatkowych segmentów. To oczywiście w wersji dla wsiowej biedoty. Każdy polski jeź od lat zmaga się z tą plagą podnoszenia na wsi zagrodowego statusu.

Skąd więc wezmą się te psy, co to za Czarnkiem będą biegać, usiłując capnąć go za kostkę. No bo te zwolnione z łańcuchów na wiejskich posesjach mogą go co najwyżej hurtowo obszczezać z py-

skiem przy siatce. O co - tak Bogiem a prawdą - trudno by było mieć do nich pretensje...

Kostka Czarnka to już jest zresztą faza druga tej historii, gdy do bohatera dociera, że jego występ nie przysporzył mu popularności i odpala się frazę „przekręcili moje słowa”. Swoją drogą nie trzeba mieć psiego nosa, by poczuć, że Czarnek wpadł tu w sporą panikę, bo swój wpis w socialach z apelem o jego dobre zrozumienie zatytułował: „nie manipulujcie psami”. A weźże człowieku manipulnij se psem uwiązanym na łańcuchu.

Dalej to już klasyka prawicowego populizmu, importowana wprost z Oceanu: nieważne, jak bredzisz, ważne, jaką przy tym robisz minę. Więc ufnie patrząc wprost do kamerki, trzymający się po profesorsku za oprawki okularów Czarnek mówi: „oto co powiedziałem”. I... puszcza inny fragment programu niż ten, za który jest krytykowany. Jak ja zazdroścuję tupetu tym... bezwstydnym...

Więc Czarnkowi się dostaje, że powiedział w radio ZET: „jak widzę psa na łańcuchu, to jestem szczęśliwy”. Bardziej uczciwi krytykują go za całe zdanie, że jest szczęśliwy jeżdżąc na rowerze. A Czarnek, oburzony, że jego wypowiedź jest manipulowana, puszcza fragment wypowiedzi, w którym opowiada, że miał 15 lat owczarka niemieckiego.

Po czym, zdejmując już okulary, by twarz swoją pocziw uczynić w kadrze pełniejszą, dodaje, że miał tego psa w dużym kojcu na dużym podwórzu i uważa, że to jest najlepsze.

No sorry, nie jest. Ale nie chce mi się z tobą chłopie o tym gadać, za bardzo lubię psy. Nawet jak mi nie chcą zrobić miejsca na najlepszej w salonie kanapie. I nie, nie wciskamy tu sobie kitu o miastowych: nazywam się Buła, tatuś był chłopem, a ja mieszkam na wsi. Co nie znaczy, że muszę być wsiakiem.

Dalej jednakże profesor lekko się już sroży i dodaje z naciskiem: „Tak, wolę jeśli pies jest uwiązany na łańcuchu, aniżeli wałęsa się bezpańsko po wsi. Tak, wolę jeśli pies jest uwiązany na łańcuchu, aniżeli by miałby mnie kąsać po kostkach albo gryźć po kolanach. I nikt mnie nie przekona, że ugryzienie dziecka wracającego ze szkoły jest lepsze, aniżeli trzymanie psa na łańcuchu”.

No i zrobiło się srogo, a ujawnione fakty są porażające: czołowy polityk PiS przez 15 lat trzymał wielkiego psa z wielkimi zębami na wsi bez łańcucha. Ile biednych polskich dzieci, wracających ze szkoły, pokasało po kostkach oraz pogryzło po kolanach to jego niemieckie bydle?

Możemy uznać za paradoks to, że w erze komunikacji agencje informacyjne i komunikowania przechodzą przez okres kryzysu. Także sami użytkownicy informacji są w kryzysie, myląc często fałsz z prawdą; to, co autentyczne, z tym, co sztuczne

nasz REGION

KRÓTKO

POWIAT TOMASZOWSKI

Balon z kontrabandą na polu



FOT. STRAŻ GRANICZNA

Policja została wczoraj poinformowana o nietypowym znalezisku na polu w okolicach Tyszowiec. Zgłoszenie pochodziło od świadka, który zauważył balon. - Według wstępnych ustaleń najprawdopodobniej jest to balon przemytniczy z papierosami bez polskich znaków akcyzy - informuje mł. asp. Aneta Brzykcy z Komendy Powiatowej Policji w Tomaszowie Lubelskim.

Incydent pod Tyszowcami nie jest pierwszym tego typu wydarzeniem na terenie województwa lubelskiego. Zaledwie kilka dni temu podobny balon, również z nielegalnymi papierosami, został odnaleziony w Antoniówce.

Województwo lubelskie jest szczególnie narażone na przemyt, biorąc pod uwagę, że graniczy z Ukrainą i Białorusią. Granica ta stanowi ważną zewnętrzną linię ochrony Unii Europejskiej.
PAP, AP

POWIAT BIŁGORAJSKI

Cztery osoby ranne w czołowym zderzeniu samochodów
Wypadek w Woli Dużej w środowy wieczór. Do szpitala z poważnymi obrażeniami trafiły cztery osoby, w tym dwoje dzieci. - Nasze wstępne ustalenia wskazują, że 25 - letni kierowca audi na prostym odcinku drogi ze wzniesieniem podjął manewr wyprzedzania i zderzył się czołowo z jadącym z naprzeciwka citroenem, którym kierowała 33 - latka. Kobieta jechała z dwójką dzieci w wieku 6 i 10 lat - mówi st. asp. Joanna Klimek. AP



FOT. POLICJA

ŚWIDNIK

Potrącenie dziecka
W Świdniku na Alei Armii Krajowej kierująca hyundaiem nie ustąpiła pierwszeństwa i potrąciła 13-letnią dziewczynkę na hulajnodze. Na szczęście nastolatka nie odniosła poważnych obrażeń. LUB

Aby grzybobranie nie skończyło się chorowaniem...

Joanna Jastrzębska, JAXA
Lubelskie

Sezon grzybowy jest w pełni. - Zbierajcie tylko te grzyby, co do których macie pewność, że są jadalne - przestrzegają specjaliści.

Zatrucie grzybami jest bardzo niebezpieczne i może zakończyć się śmiercią. W połowie sierpnia br. mieszkanka Lublina zatruta się muchomorem sromotnikowym.

- Stan był bardzo ciężki, zaawansowana ostra niewydolność wątroby. Trafiła na oddział intensywnej terapii naszego szpitala, a później została przekazana do szpitala warszawskiego celem przeszczepienia wątroby. I wiem, że to zakończyło się źle - mówiła na antenie TVP 3 Lublin Ewa Gołacka, zastępczyni kierownika Klinicznego Oddziału Toksykologiczno-Kardiologicznego i Chorób Wewnętrznych szpitala przy al. Kraśnickiej.

Zakończyło się źle, bo kobieta prawdopodobnie za późno zgłosiła się do szpitala. W Warszawie podjęto próbę skomplikowanej procedury pozaustrojowego oczyszczania krwi i udało się, ale mogła być stosowana krótko. Niestety, pacjentka zmarła przed tym, jak znalazł się dostępny dla niej organ.

Objawy po zjedzeniu toksycznego grzyba mogą wystąpić nawet 12 godzin później. Ale nie sposób ich pominąć, to



FOT. MALGORZATA GENCA

Jakie grzyby można włożyć do koszyka? Akcja edukacyjna sanepidu na pl. Litewskim

m.in. kolkowe bóle brzucha, nudności, wymioty i nieoponowana biegunka.

Zapytaj eksperta

„Poznaj grzyby - unikniesz zatrucia” - to hasło wczorajszej imprezy edukacyjnej zorganizowanej przez sanepid, która odbyła się na pl. Litewskim. Można było zobaczyć grzyby z polskich lasów i porozmawiać z ekspertami.

Jak zdecydować, które grzyby włożyć do koszyka i zabrać do domu, a które zostawić w lesie? Jak odróżnić kurkę

od lisówki czy kanię od sromotnika? - Zbieramy te grzyby, na których się znamy - radzi Joanna Gąsior, grzyboznawca z Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Lublinie. A jeśli mamy wątpliwości, to wszystkie stacje sanitarno - epidemiologiczne prowadzą dyżury grzyboznawców. - Kasyfikatory sprawdzają zebrane grzyby. I wydają atesty - wskazuje Piotr Dreher, Lubelskie Państwowe Wojewódzkie Inspektor Sanitarny.

- Ostatnio mamy prawdziwy wysyp pieczarki karbolowej,

niejadalnej czy wręcz trującej. To grzyb, który po dotknięciu żółknie, co pozwala go dosyć skutecznie identyfikować. Ponadto przy obróbce termicznej wydziela się bardzo silny nieprzyjemny zapach, podobny o karbolu - opisuje Renata Szczęk, grzyboznawca z WSSE w Lublinie.

Eksperci podkreślają, że praktycznie wszystkie grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które nie nadają się do spożycia lub są trujące.

- Grzyby, które mają rurki z reguły możemy jeść, a grzyby, które mają blaszki raczej nie nadają się do jedzenia - tłumaczy Piotr Dreher.

Grzyboznawcy apelują, żeby nie niszczyć podczas wyprawy do lasu grzybów, które nie są jadalne. - Borowiki rosną w pobliżu muchomorów, dlatego jak spotkamy muchomory to rozglądamy się czy dookoła nie ma grzybów szlachetnych, które można zabrać do domu - twierdzi Renata Szczęk.

Deszcz i stosunkowo ciepłe noce sprawiają, że w lasach grzybów jest obecnie naprawdę dużo.

- Gdzie się wybrać? To tajemnica każdego grzybiarza. Widzimy, że w lasach janowskich wysyp borowika już się skończył. Borowiki mogą się pojawić w lasach Pojezierza Łęczyńskiego - Włodawskiego. Przyjeżdżają do nas osoby spod Biłgoraja, gdzie grzybów jest ogrom - dodaje Renata Szczęk.

Lotnicza Akademia Wojskowa zainaugurowała rok akademicki

Krzysztof Nowacki
Dęblin

W Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie około 600 studentów pierwszego roku zainaugurowało nowy rok akademicki na studiach wojskowych i cywilnych.

Na jedynej w Polsce uczelni kształcącej kandydatów na pilotów wojskowych naukę podjęło w sumie blisko 2,5 tysiąca studentów. Rok akademicki 2025/2026 rozpoczął drugie stulecie istnienia Szkoły Orłąt.

Uczelnia prowadzi studia wojskowe i cywilne na pięciu kierunkach oraz studia podyplomowe w sześciu specjalnościach.

- Zależy nam żeby Lotnicza Akademia Wojskowa była uczelnią nowoczesną i innowacyjną - podkreślił rektor komendant LAW gen. bryg. pil. dr. inż. Krzysztof Cur. Zwrócił uwagę, że tocząca się wojna za naszą wschodnią granicą „motywuje do nieustannego rozwoju i doskonalenia”.

Dla szer. podch. Mateusza Palucha nauka w LAW jest po-



FOT. MALGORZATA GENCA

Uczelnia prowadzi studia wojskowe i cywilne na pięciu kierunkach oraz studia podyplomowe

łączeniem pasji do lotnictwa oraz wartości patriotycznych. - Służba ojczyźnie oraz lotnictwo. Ta szkoła to oferuje i mogę się tutaj spełniać. Nie ma tutaj ludzi przypadkowych, każdy chce służyć ojczyźnie - powiedział Paluch, który rozpoczyna studia na kierunku nawigator naprowadzania.

- Siła i pozycja kraju zależy w ogromnym stopniu od potencjału armii. Ten z kolei zawsze był i jest pochodną nie tylko nowoczesnego uzbrojenia i sprawnie funkcjonujących systemów, lecz także, a może

przede wszystkim, gruntownie wykształconych, przygotowanych i kreatywnych kadr - napisał prezydent Karol Nawrocki w przesłanym liście.

- Niech wasza służba będzie mądra, odważna i odpowiedzialna. Niech będzie wyrazem miłości do ojczyzny - napisał z kolei wicepremier, minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz.

Lotnicza Akademia Wojskowa powstała w 1925 r. W kwietniu 1927 r. szkołę przeniesiono do Dęblina.

©©

KRÓTKO

LUBLIN

Napastnicy uwięzili 18-latkę i brutalnie go pobili

30-letni mężczyzna i jego 20-letnia partnerka uwięzili swego znajomego i próbowali zmusić go do zmiany zeznań. 18-latek został pobity, sprawcy grozili jemu i jego rodzinie. Do zdarzenia doszło kilka dni temu w LSM.

- Jak wynika z ustaleń policjantów, chcieli w ten sposób zmusić go do zmiany zeznań w toczącym się postępowaniu. Pokrzywdzony był bity po całym ciele, w wyniku

czego doznał obrażeń - opisuje podinsp. Kamil Gołębowski. - Domagali się też pieniędzy na spłatę długu jednego ze sprawców. Odpowiedzą za wymuszenie rozbójnicze, wywieranie wpływu w toczącym się postępowaniu, pozbawienie wolności oraz uszkodzenie ciała. Oboje na wniosek śledczych zostali tymczasowo aresztowani. Grozi im do 10 lat więzienia. ASZ

LUBLIN

Na pl. Rybnym kręcą „Lalkę”



Lubelskie Stare Miasto w serialu „Lalka” zagra dzielnicę XIX-wiecznej Warszawy.

Drewniane konstrukcje pojawiły się kilka dni temu m.in. na pl. Rybnym. Trwają prace przy budowie scenografii. Premiera filmu jest planowana w 2026 r. na platformie Netflix. Produkcja będzie miała sześć odcinków. Zdjęcia były już kręcone m.in. w Warszawie.

W Lublinie ekipa filmowa będzie pracować w najbliższych dniach na pl. Rybnym,

ul. Rybnej, ul. Noworybnej, ul. Olejnej i ul. Ku Farze. Po tem filmowcy pojawią się na ul. Jezuickiej, ul. Gruella, ul. Dominikańskiej oraz ul. Rynek. Utrudnienia w ruchu planowane są tam od 13 do 17 października.

Nie jest to pierwszy „występ” pl. Rybnego w filmie. Np. w 2013 r. kręcono tu najważniejsze sceny „Kamieni na szaniec”, czyli akcji pod Arsenalem. W 2016 r. był tu kręcony serial „Wojenne dziewczyny”. JAXA

LOTNISKO LUBLIN

Połączenie Lublin - Maastricht

Port Lotniczy Lublin ogłosił nową destynację, a połączenia będą odbywać się dwa razy w tygodniu od 30 marca.

Loty Wizz Air do Maastricht będą odbywać się w poniedziałki i piątki, co pozwoli pasażerom wygodnie planować zarówno krótkie wyjazdy weekendowe, jak i dłuższe pobyty. Maastricht

to malownicze miasto położone na południu Holandii, w pobliżu granic z Belgią i Niemcami. - To bardzo dobra wiadomość zarówno dla pasażerów z naszego regionu, którym zależy na dotarciu do Nederlandów - mówi Krzysztof Matuszczyk, prezes Portu Lotniczego Lublin. ASZ

Dla kogo 1500 złotych dopłaty do rachunku za ciepło?

Artur Jurkowski
Lubelskie

500 zł na 2025 rok, 1000 zł na 2026 r. - tyle wynosi bon ciepłowniczy, który ma zrekompensować, przynajmniej częściowo, wysokie rachunki za ogrzewanie mieszkań.

Bon ciepłowniczy to pomysł Ministerstwa Energii. Jest świadczeniem pieniężnym będącym wsparciem dla gospodarstw domowych o niskich dochodach, które doświadczają skokowego wzrostu cen ciepła systemowego dostarczanego przez przedsiębiorstwa energetyczne na skutek wygaśnięcia z dniem 30 czerwca br. mechanizmu tzw. maksymalnej ceny dostawy ciepła - wyjaśnia na stronie internetowej ministerstwo.

Wartość bonu to 500 zł na ten rok (lipiec - grudzień) oraz 1000 zł na 2026 r. (styczeń - grudzień).

Żeby skorzystać z dofinansowania trzeba spełnić określone przez ministerstwo kryteria. Po pierwsze korzystać z ciepła systemowego, czyli w przypadku Lublina dostarczanego przez LPEC.

Kolejny próg do przejścia to cena ciepła. Chodzi o jednokrotną cenę ciepła netto (JCC) w danej grupie taryfowej. Tam gdzie przekracza 170 zł za GJ będzie można dostać dofinansowanie, gdzie jest niższa - wsparcia nie będzie. W Lublinie są cztery grupy taryfowe. Dwie (G1 i G2I) przekraczają limit, dwie kolejne (G2G i G3) - nie.

Co to oznacza dla mieszkańców Lublina?

- Około 60 procent odbiorców będzie mogło skorzystać z bonu ciepłowniczego, kolejnych ok. 40 już nie - szacuje Teresa Stępnia - Romanek, rzeczniczka prasowa LPEC.



FOT. MALGORZATA GENCA

O bon ciepłowniczy będą mogli starać się nie tylko właściciele mieszkań, ale też ich najemcy

- Ktoś próbuje pomóc mieszkańcom, ale z tej pomocy skorzysta niewielu. Na jednym osiedlu mogą stać obok siebie bloki, gdzie lokatorzy jednego będą mogli się ubiegać o bon ciepłowniczy, a w drugim - już nie - wskazuje Sławomir Osiński, prezes SM Czechów.

Spółdzielnie, aby pomóc mieszkańcom planują zamieszczenie na swoich stronach internetowych list budynków, z których mieszkańcy mogą wystąpić o bon ciepłowniczy. Takie zestawienie jest już np. w PSM Kolejarski.

- Około połowy naszych mieszkańców może ubiegać się o bon - wylicza Dariusz Szymański, prezes PSM Kolejarski.

Ceny ciepła w poszczególnych budynkach przeanalizowała RSM Motor. - Taryfy G2I (czyli uprawniające do ubiegania się o bon - dop. red.) obowiązują mieszkańców osiedli: Daszyńskiego, Przyjaźni, Niepodległości. Taryfa G3 (nie uprawnia do dofinansowania - dop. red.) obowiązuje tylko na terenie os. Kleeberga - wskazuje Janusz Szacoń, prezes RSM Motor.

Świdnik za burtą

W Świdniku obowiązują cztery grupy taryfowe w opła-

tach za ciepło. Wahają się od 98,93 zł/GJ do 117,91 zł/GJ

- W Świdniku ceny ciepła systemowego we wszystkich grupach taryfowych są niższe niż wspomniany próg taryfowy określony w ustawie. Oznacza to, że mieszkańcy naszego miasta nie będą mogli skorzystać z bonu ciepłowniczego, ponieważ dopłaty adresowane są do odbiorców z systemów, w których cena ciepła przekracza 170 zł/GJ - informuje na swoim Facebooku Marcin Dmowski, burmistrz Świdnika.

Dochód, czyli sito numer dwa

Cena ciepła to pierwszy poziom do przejścia na drodze po dofinansowanie. Nie wystarczy ona do uzyskania wsparcia. Trzeba jeszcze spełnić kryterium dochodowe.

Bon przysługuje, jeśli przeciętny miesięczny dochód netto na osobę nie przekracza: ● 3272,69 zł - w gospodarstwie jednoosobowym ● 2454,52 zł - w gospodarstwie wieloosobowym

Dofinansowanie będzie wypłacane w dwóch transzach. Pierwszy nabór wniosków za okres lipiec - grudzień 2025 r. zaplanowano w dniach 3 listopada - 15 grudnia.

Wnioski, w przypadku mieszkańców Lublina, będzie trzeba złożyć do MOPR. Elementem wniosku będzie potwierdzenie korzystania z ciepła systemowego wraz z ceną. Mają to zrobić zarządcy nieruchomości.

- Będziemy, w jak najszerszym zakresie, służyć mieszkańcom pomocą w procedurze związanej z uzyskaniem dofinansowania - zapewnia prezes Osiński.

- Zechcemy wydrukować wnioski, aby mieszkańcy mogli je pobrać u nas w spółdzielni - dodaje prezes Szymański.

Najemca też na szanse na bon

O bon ciepłowniczy będą mogli starać się nie tylko właściciele mieszkań, ale też ich najemcy.

- Najem mieszkania nie wyklucza możliwości ubiegania się o bon ciepłowniczy w danej gminie w przypadku, gdy zamieszkiwanie w wynajmowanym mieszkaniu na terenie tej gminy wiąże się z zaspokajaniem codziennych potrzeb życiowych danej osoby w mieszkaniu faktycznie zajmowanym, stanowiącym centrum życia domowego w danym okresie, a w szczególności nocowania, stołowania się i wypoczynku po pracy czy nauce. Istotne w tym przypadku jest wykazanie faktycznego miejsca zamieszkiwania pod podanym we wniosku adresem - na obszarze gminy, w której składa się wniosek o wypłatę bonu ciepłowniczego - tłumaczy Ministerstwo Energii.

Zastrzega jednocześnie, że na dane mieszkanie przysługuje tylko jeden bon. Jeśli przebywają w nim dwie rodziny, otrzyma go ta, która pierwsza złoży wniosek.

Nowa inwestycja zbrojeniowa w Kraśniku

Artur Jurkowski
Kraśnik

Artyleryjska amunicja kalibru 155 mm będzie produkowana w Kraśniku. MESKO na zwiększenie zdolności produkcyjnych dostało 887 mln zł rządowego wsparcia.

29 października ma być wmurowany kamień węgielny pod budowę fabryki amunicji w Kraśniku. Informację przekazał na swoim Facebooku Andrzej Maj, wicewojewoda lubelski.

Inwestycję zrealizuje firma MESKO. Wchodząca w skład

Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółka dostała 887 mln zł dotacji z rządowego Funduszu Inwestycji Kapitałowych na zwiększenie zdolności produkcyjnych w zakresie amunicji artyleryjskiej kalibru 155 mm.

- To odpowiedź na realne potrzeby bezpieczeństwa Polski i Sojuszu Północnoatlantyckiego. To także impuls rozwojowy dla całej gospodarki i regionów, w których funkcjonują zakłady produkcyjne - podkreśla w lipcu tego roku Renata Gruszczyńska, prezes zarządu MESKO.

- Już dziś powstają tam korpusy do naboju 155 mm, a planowana inwestycja obejmie m.in. zwiększenie powierzchni hali produkcyjnej do około 9 tys. mkw oraz modernizację istniejących obiektów. Prace ruszą jeszcze w tym roku, a ich zakończenie przewidziano na trzeci kwartał 2027 roku - informowała latem 2025 r. spółka w komunikacie prasowym.

W lipcu MESKO zapowiedziało, że rozbudowa fabryki ruszy jeszcze w tym roku, a zakończenie prac jest przewidziane na trzeci kwartał 2027

roku. - To oznacza setki miejsc pracy, nowe możliwości i rozwój gospodarki miasta. Cieszę się, że mogą być częścią tego projektu, który udało się pozyskać wspólnie z Krzysztofem Hetmanem - podkreśla Andrzej Maj.

Jesienią 2024 roku MESKO S.A. kupiło od Fabryki Łożysk Toczących w Kraśniku kompleks nieruchomości składających się z trzech działek o łącznej powierzchni ok. 1,53 ha. Spółka nabyła także od gminy Kraśnik działkę o powierzchni ponad 1 ha pod przestrzeń magazynową.

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powódzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska. Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych. Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej. Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów. Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także nieruchomości gruntowe i budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych nieruchomości naniесień, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wezbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

WARSZAWA

Minister finansów: W 2026 roku żegnamy drożynę i stagnację

- Budżet na 2026 rok jest planem wzmocnienia polskiej gospodarki; wraz z nim żegnamy drożynę i stagnację - przekazał w czwartek w Sejmie minister finansów i gospodarki Andrzej Domański, który przedstawił projekt ustawy budżetowej na 2026 rok. Podkreślił, że projekt budżetu przewiduje inwestycje w innowacyjność, cyfryzację i konkurencyjność Polski.

- W bieżącym i kolejnym roku spodziewane jest wy-

raźne ożywienie gospodarcze. Polskie PKB w ujęciu realnym w latach 2025 i 2026 wzrośnie odpowiednio o 3,4 proc. i 3,5 proc. To plasuje polską gospodarkę znacznie powyżej prognoz dla strefy euro - powiedział minister.

Wydatki budżetu państwa w przyszłym roku wyniosą 918,9 mld zł, przy dochodach w wysokości 647,2 mld zł. Deficyt ma nie przekroczyć zatem poziomu 271,7 mld zł.

Oprac. Anna Nagel | PAP

WASZYNGTON

- Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla - oświadczył prezydent USA Donald Trump. W piątek zostanie ogłoszony tegoroczny laureat tego wyróżnienia. Jego kandydaturę do otrzymania nagrody poparli m.in. przywódcy Armenii, Azerbejdżanu, Demokratycznej Republiki Konga, Izraela, Kambodży i Rwandy. | PAP

”

Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla

Donald Trump prezydent USA

Polski urzędnik szpiegował dla rosyjskiego wywiadu?

Marcin Koziestański
Warszawa

Do Sądu Okręgowego w Warszawie skierowany został akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L., oskarżonemu o szpiegostwo oraz przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego.

Informację przekazał Jacek Dobrzyński, rzecznik koordynatora służb specjalnych. Prokuratura zarzuca Tomaszowi L. udział w działalności rosyjskiego wywiadu.

Dobrzyński przekazał w czwartek na platformie X, że akt oskarżenia jest wynikiem długotrwałego i wielowątkowego postępowania prowadzonego przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod nadzorem Prokuratury Krajowej.

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez funkcjonariuszy ABW 17 marca 2022 r. - wynika z szerzej informacji opublikowanej na stronie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po tym zatrzymaniu prokuratura, na podstawie materiałów ABW, wszczęła śledztwo, a sąd zastosował wobec niego środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który był przedłużany.

ABW przekazała, że 11 września 2025 r. prokurator z Mazowieckiego Wydziału



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez ABW 17 marca 2022 r.

Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej skierował do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L. Śledczy zarzucili mężczyźnie branie udziału, w okresie od 2017 r. do dnia 17 marca 2022 r., w działalności rosyjskiego wywiadu cywilnego oraz przekazywanie temu wywiadowi informacji, które mogły wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.

„W wyniku długotrwałego i wielowątkowego postępo-

wania przygotowawczego prowadzonego przez ABW pod nadzorem ww. Prokuratury, zebrano obszerny materiał dowodowy, z którego wynika, że Tomasz L., będąc pracownikiem Wydziału Archiwalnego Ksiąg Stanu Cywilnego Urzędu m.st. Warszawy i posiadając dostęp do jego zbiorów oraz systemów, pozyskiwał służbową dokumentację i materiały, które przekazywał rosyjskiej służbie wywiadowczej” - wyjaśniono w komunikacie.

Prokuratura Krajowa poinformowała w czwartek, że

z materiału dowodowego wynika, że Tomasz L. miał kopować na prywatne nośniki i fotografować telefonem służbowe dokumenty, w tym akty stanu cywilnego obywateli polskich i cudzoziemców, korespondencję z placówkami dyplomatycznymi, urzędowe szablony, wytyczne i inne dane.

„Uzyskiwane dane i dokumenty umożliwiały m.in. wykonanie przez obce służby dokumentacji legalizacyjnej dla budowania tożsamości tzw. nielegalów. (...) Dane te przekazywał następnie ustalonemu oficerowi wywiadu za pomocą zakamuflowanej łączności radiowej. Wcześniej został w tym zakresie przeszkolony przez rosyjskie służby” - podała PK.

Po zatrzymaniu na wniosek prokuratury sąd zastosował wobec Tomasza L. środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który następnie był przedłużany, w tym ostatnio przez Sąd Apelacyjny w Warszawie na kolejnych 6 miesięcy, tj. do 25 marca 2026 r.

Tomasz L. nie przyznał się do zarzucanego mu czynu. Na początkowym etapie śledztwa złożył wyjaśnienia. Podczas następnych przesłuchań korzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień - przekazali śledczy w komunikacie. PAP

Drogiemu Koledze

Romualdowi Lipińskiemu

wyrazy wsparcia i współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają

Koleżanki i Koledzy

I i III Zespołu Kuratorskiej Służby Sądowej
Sądu Rejonowego Lublin - Zachód w Lublinie

REKLAMA

0011252648

ROK ZAŁOŻENIA 1958
PUK

81 744 50 31
503 026 883

LUBLIN, ul. Cmentarna 8

**KOMPLEKSOWE
USŁUGI POGRZEBOWE**

**BUDOWA I SPRZEDAŻ
NOWYCH GROBÓW NA MAJDANKU**

24H

www.puklublin.pl

REKLAMA

0011264134

STYKS
FIRMA POGRZEBOWA

TELEFONY: 81 744 02 03 | +48 663 911 511

Kompleksowe usługi pogrzebowe	Międzynarodowy transport zmarłych	Rozliczenie ratalne	Usługi cmentarne
-------------------------------	-----------------------------------	---------------------	------------------

www.styks.com.pl | Lublin, Cmentarna 6

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Kondolencje i nekrologi

w Twojej gazecie
zlecisz bez
wychodzenia
z domu przez
Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

„Inwazja” Gwardii Narodowej. Jest na przedmieściach Chicago

Oprac. Karolina Wrońska
Chicago

Żołnierze Gwardii Narodowej z Teksasu zgromadzili się na obrzeżach Chicago. Lokalne władze potępiły to jako niekonstytucyjną „inwazję” zarządzaną przez prezydenta Donalda Trumpa.

Według gazety „New York Times”, powołującej się na przedstawiciela armii USA, oczekuje się, że dwustu żołnierzy z Teksasu zostanie wysłanych w rejon Chicago w środę. Do rozmieszczenia przygotowuje się także około 300 żołnierzy Gwardii Narodowej ze stanu Illinois. Rozmówca gazety, który zastrzegł sobie anonimowość, dodał, że żołnierze nie będą samodzielnie egzekwować prawa, lecz wspierać federalnych funkcjonariuszy imigracyjnych.

Dowództwo Północne USA poinformowało w oświadczeniu na swojej stronie internetowej, że żołnierze Gwardii Narodowej zmierzający do Illinois, którzy byli we wtorek widziani



FOT. PAP/PA/ARON SCHWARTZ

Gubernatorzy z Partii Demokratycznej oskarżają Donalda Trumpa o chęć ukarania wrogów politycznych, sianie chaosu i umocnienie władzy w stanie wojennym

podczas zbiórki w Centrum Szkolenia Rezerwy Armii w Elwood, zostali zmobilizowani początkowo na okres 60 dni.

„Te siły będą chronić Służbę Imigracyjną i Celną USA oraz innych funkcjonariuszy rządu USA, którzy pełnią funkcje federalne, oraz zapewnią ochronę własności federalnej” – stwierdziło Dowództwo Północne.

Władze Illinois i Chicago zakwestionowały w sądzie decyzję prezydenta Trumpa o rozmieszczeniu na ich terenie dodatkowych sił i potępiły przymuszenie jednostek Gwardii Narodowej przez granice stanowe bez zgody lokalnych władz. Gubernator Illinois J. B. Pritzker i inni przywódcy Partii Demokratów oskarżyli Trumpa o prowadzenie kampanii ode-

rwanej od rzeczywistości, mającej na celu ukaranie wrogów politycznych, sianie chaosu i umocnienie władzy w stanie wojennym.

Prezydent próbował również wysłać wojska z Teksasu i Kalifornii do Portland w stanie Oregon, ale zablokował to sędzia federalny, uznając te działania za niezgodne z konstytucją. Sędzia federalny odmówił w poniedziałek tymczasowo wydania podobnego zakazu w Illinois. Przesłuchania w tej sprawie zostały zaplanowane na czwartek.

Jak podkreślił „NYT”, prezydent Donald Trump twierdzi, że wiele dużych miast USA, niemal wyłącznie tych rządzonych przez demokratów, potrzebuje wojska do zwalczania przestępczości – czego wojsku generalnie zabrania prawo federalne – oraz do ochrony federalnych agentów imigracyjnych przed protestującymi, którzy próbują wdrożyć jego politykę masowych deportacji. Jednak protesty, przynajmniej w Portland, przebiegały w większości spokojnie.

PAP

Polacy z flotylli Sumud wrócili do kraju. Mają pretensje do Sikorskiego

Oprac. Anna Nagel
Warszawa

Polscy uczestnicy flotylli humanitarnej do Strefy Gazy - Omar Faris, Nina Ptak, Franciszek Sterczewski i brytyjska dziennikarka polskiego pochodzenia Ewa Jasiewicz, wrócili do kraju.

Polacy znajdowali się w grupie ponad 470 osób z 47 państw biorących udział w Globalnej Flotylli Sumud (GSF). Morski konwój humanitarny został przechwycony w ubiegłym tygodniu w nocy ze środy na czwartek na wodach międzynarodowych przez izraelską marynarkę wojenną. Przejęto 42 statki, a ich załogi sprowadzono do Izraela, zatrzymano i deportowano.

Po przylocie na warszawskie lotnisko Chopina przewodniczący polskiej delegacji Omar Faris powiedział, że wszyscy musimy być razem przeciwko ludobójczej wojnie w Strefie Gazy. Relacjonował też, że uczestnicy flotylli byli

traktowani „w sposób absolutnie brutalny”.

- Przez kilka godzin, ja mam 73 lata, wiazali moje ręce do tyłu i na kamienie wsadzili - mówił Faris na briefingu prasowym.

Sterczewski pytał, dlaczego w czasie, kiedy uczestnicy flotylli robili wszystko, żeby zakończyć to ludobójstwo, zwrócić uwagę świata na to, co tam się dzieje, minister Sikorski bagatelizował sytuację. Jak zaznaczył, nie oczekuje od Sikorskiego dymisji, a „natychmiastowej zmiany polityki rządu polskiego”.

Rzecznik MSZ Maciej Wewiór proszony o komentarz w sprawie zarzutów aktywistów zapewnił, że resort chroni interesy Polski i jej obywateli, korzystając z narzędzi dyplomacji.

„Dobrze, że dzięki tym działaniom trójka naszych obywateli jest już wolna i mogła wrócić do kraju” - napisał w przesłanym do PAP komentarzu.

PAP

MATERIAL INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

1411408616

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motywem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha - artysty, którego dzieła przepełnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesłać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozszerzona o dwa nowe



patronat honorowy



patronat medialny



muzea: Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżowych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu.

Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidualną nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata – bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowanie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe – relację z wycieczki muzealnej, która zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finansowe o wartości

5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu pokazała, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazły się również te z województwa lubelskiego, które zachwyciły jury

i zdobyły zasłużone wyróżnienia. W gronie laureatów znalazły się: Szkoła Podstawowa nr 2 im. Tadeusza Kościuszki w Łęcznej, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej w Mniszku, Szkoła Podstawowa im. Marii Kownackiej w Krzywdzie, Zespół Szkół w Grzędzówce w Łukowie – którzy w ramach nagrody odwiedzili Muzeum Narodowe w Warszawie oraz Muzeum Narodowe w Kielcach. Ich sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa lubelskiego – z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców – do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?

Zelenski ostrzega: Jest duże ryzyko, że Putin może rozpocząć wojnę światową

Oprac. Anna Nagel
Kijów

- Jeśli popularność Władimira Putina w Rosji zacznie spadać, to rozpocznie on wielką wojnę - oświadczył prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski.

- Przywódca Rosji unika mobilizacji, bo obawia się spadku popularności w kraju, ale jeśli się na nią zdecyduje, to rozpocznie wielką wojnę i stworzy poważne wyzwanie dla Europy - powiedział Zełenski.

- Mobilizacja to na pewno spadek popularności przywódcy Federacji Rosyjskiej. Tylko dlatego jej nie przeprowadził. Uwierzcie mi, oni na pewno nie chcieli płacić dużych pieniędzy za kon-

trakty. Tak dużych pieniędzy, jak płacili przez te lata. Ale zdecydowali się na to. Wyobraźcie sobie, jaka jest cena ochrony jego (Putina) osobistej popularności. Dlatego jeśli dojdzie do mobilizacji, będzie to wyzwanie dla Europy. On rozpocznie wielką wojnę - doprecyzował Zełenski podczas spotkania z dziennikarzami.

Według prezydenta takie ryzyko istnieje, ponieważ Putin musi „sprzedawać” sukces. W szczególności w wojnie przeciwko Ukrainie wszystko, co mógł „sprzedać”, już „sprzedał”, „i widzicie, jak powiedziałam, towar jest już złej jakości - sprzedaje kłamstwo, że może coś osiągnąć w wojnie przeciwko Ukrainie”.

PAP



- Putin okłamuje Rosjan, że może coś osiągnąć w wojnie przeciwko Ukrainie - twierdzi Zełenski

Szwedzi na potęgę robią zapasy żywności

Kazimierz Sikorski
Sztokholm

Szwedzi zaopatrują się w artykuły żywnościowe na wypadek wojny. Konflikt w Europie nie wydaje się już odległą możliwością, a władze zachęcają do takich działań, donosi AFP.

Mieszkanka Sztokholmu, 71-letnia Sirkka Petrykowska powiedziała AFP, że poważnie traktuje perspektywę działań wojennych i przygotowuje tyle, ile może.

- Kupiłam kuchenkę kempingową. Zrobiłam kurs i wiem, jak konserwować warzywa, mięso i owoce, które przetrwają 30 lat bez lodówki - powiedziała Petrykowska.

Niedawno Szwecja zorganizowała coroczny Tydzień Gotowości, w którym władze starają się podnieść świadomość w ra-

mach strategii „totalnej obronności” kraju.

Kraj ożywił strategię w 2015 r., po aneksji Krymu przez Rosję i wprowadzono więcej środków - w tym mianowano ministra obrony cywilnej - po inwazji Moskwy na Ukrainę w 2022 roku. Chodzi o to, aby zmobilizować cały naród, od władz po obywateli i firmy, do wspólnego oporu przeciwko agresji, zachowując przy tym podstawowe funkcje.

Zachęca się wszystkich do gromadzenia żywności, aby żyć niezależnie przez co najmniej siedem dni. Specjaliści opublikowali listę zalecanych produktów spożywczych o wysokiej zawartości tłuszczu i białka i łatwych do przechowywania. Są to: pesto, suszone mięso lub ryby, dżem, czekolada, tłuczone ziemniaki, mleko w proszku i herbatniki. PAP

Zawieszenie broni w Strefie Gazy. Szansa na trwały pokój

Oprac. Karolina Wrońska
Strefa Gazy

Zawieszenie broni w Strefie Gazy to pierwszy krok do trwałego pokoju w regionie. Prezydent USA Donald Trump zapowiedział, że izraelscy zakładnicy zostaną uwolnieni przez Hamas.

Prezydent USA Donald Trump poinformował jako pierwszy, że zostanie podpisane zawieszenie broni pomiędzy Hamasem a Izraelem. Dodał, że izraelscy zakładnicy przetrzymywani w Strefie Gazy zostaną „najpewniej uwolnieni w poniedziałek”. W wywiadzie dla telewizji Fox News dodał, że palestyńska organizacja Hamas ma też przekazać ciała zakładników porwanych 7 października 2023 roku.

Amerykański przywódca ocenił, że „cały świat zjednoczył się wokół porozumienia dotyczącego Strefy Gazy”. Dodał, że jest ono „dobre dla Izraela, dla krajów arabskich, muzułmańskich oraz dla USA”.

W czwartek około południa biuro premiera Izraela Beniamina Netanjahu przekazało publicznie, że długo oczekiwane zawieszenie broni wejdzie w życie jeszcze tego samego dnia, wieczorem, po tym, gdy pierwsza faza porozumienia rozejmowego zostanie oficjalnie zaakceptowana przez izraelski rząd.



W czwartek w wielu miastach Izraela ludzie wyszli tłumnie na ulice, świętując informację o zawieszeniu broni w Strefie Gazy

„Region zostanie odbudowany”

Donald Trump oświadczył, że „to coś więcej niż Strefa Gazy”.

- To pokój na Bliskim Wschodzie. To coś niesamowitego - stwierdził Trump.

Prezydent USA zapewnił też, że region zostanie odbudowany, stanie się spokojnym i bezpiecznym miejscem, a jego mieszkańcy będą zaopiekowani.

- Jestem przekonany, że na Bliskim Wschodzie będzie pokój. Słowa „pokój na Bliskim Wschodzie” to coś, do czego

dążono od setek lat, od wieków - podkreślił Trump.

Przywódcy krajów z całego świata wyrazili zadowolenie z porozumienia.

- Porozumienie w sprawie Gazy i uwolnienie zakładników to szansa na koniec wojny i rozwiązanie dwupań-

stwowe - stwierdził prezydent Francji Emmanuel Macron.

„To szansa na wytyczenie wiarygodnej drogi politycznej prowadzącej do trwałego pokoju i bezpieczeństwa” - napisała na portalu X szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Również rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow oświadczył w czwartek, że Rosja „zdecydowanie popiera” wysiłki i decyzję Izraela oraz Hamasu, zatwierdzając pierwszy etap planu pokojowego dla Strefy Gazy.

PAP

Trump: Region zostanie odbudowany i stanie się spokojnym, bezpiecznym miejscem, a jego mieszkańcy będą zaopiekowani

Chiny przygotowują swoją armię do „niespodziewanego ataku” na Tajwan?

Oprac. Anna Nagel
Tajpej

„Chiny nasilają działania wojskowe wokół Tajwanu i przygotowują się do niespodziewanego ataku” - ostrzegło w czwartkowym raporcie ministerstwo obrony w Tajpej.

W publikowanym co dwa lata raporcie resort ostrzega, że Pekin w ciągu ostatnich pięciu lat zintensyfikował presję militarną, a od 2022 roku przeprowadził co najmniej sześć manewrów wojennych na dużą skalę wokół wyspy.

Według dokumentu Chiny używają narzędzi sztucznej inteligencji do osłabiania cyberbezpieczeństwa Tajwanu i wyszukiwania słabych punktów w infrastrukturze krytycznej. Pekin ma też stosować „wojnę hybrydową”, aby osłabić zaufanie społeczeństwa do rządu oraz nasila presję w „szarej strefie” m.in. poprzez patrole straży przybrzeżnej.



Tajwan podkreśla swoją niezależność od Chin

„Zarówno poprzez konwencjonalne, jak i niekon-

wencjonalne działania wojskowe (Pekin) dąży do przetestowania swoich zdolności do ataku na Tajwan i konfrontacji z siłami zagranicznymi” - napisali autorzy raportu.

Resort obrony w Tajpej dodał, że Chiny mogą podjąć próbę nagłego przekształcenia ćwiczeń w działania bojowe, aby zaskoczyć Tajwan i jego międzynarodowych sojuszników, co będzie stanowić „poważne zagrożenie dla regionalnego pokoju”.

W raporcie podkreślono także, że Pekin intensywnie wykorzystuje cywilne statki handlowe do transportu wojskowego i rozwija specjalistyczny sprzęt do operacji desantowych.

Komunistyczne władze w Pekinie uznają demokratycznie rządzony Tajwan za część swojego terytorium

i nie wykluczają użycia siły w celu przejścia nad nim kontroli, a prezydenta Lai Ching-te uznają za „separatystę”. Lai odrzuca roszczenia Pekinu, twierdząc, że Republika Chińska (Tajwan) i Chińska Republika Ludowa (Chiny) „nie są sobie podporządkowane” i tylko mieszkańcy wyspy mogą decydować o swojej przyszłości.

Tajwański prezydent Lai Ching-te oświadczył niedawno, że Donald Trump zasłużyłby na Pokojową Nagrodę Nobla, gdyby przekonał przywódcę Chin Xi Jinpinga do trwałego porzucenia użycia siły militarnej przeciwko Tajwanowi. W wyjątkowo ostrej reakcji chińskie władze oskarżyły Laia o „prostytuowanie się” i „sprzedawanie Tajwanu”.

PAP

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerkna na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdź, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, czasem marynuje, częściej mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswój. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyżkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od praga.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzoźek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczków z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządzam z przyjacielem. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierzy wiele kilometrów, umorduje się

i nic, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemierzony i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasja i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papłaków i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne – niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

– Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem – śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechociński, po lasach biegał od dzieciaka. – Mój wuj był sołtysiem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach – wspomina.

Wuj, sołtys, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

– Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników – tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szału nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

– W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu – mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba – same czerwone kozaki.



FOT. MARIUSZ KAPALA

Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy rydzów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześnie, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

– A kto to taki? – dopytuje.

– Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy – tłumaczy. – Więc wjeżdżam wcześniej, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji – dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

– Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? – pytam.

– Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz – tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wołowych bitek bez grzybków.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Stoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

– Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus – mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylanie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

– Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

– Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach – i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast – grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególnie znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło – wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkakrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wyszynowska mówi, że rozpoznaje z 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień – w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

– To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszaliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej – opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

– To były wspnięciały wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii – wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Część suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

– Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie – śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

– Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków – wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

– Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniejsze, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni – mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. – Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej – tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle – będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę – trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów zorientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszliśmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie – zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu zapełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognął do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

– Niech jeździ! – pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

KIEDY SUTANNA PRZESTAJE PASOWAĆ DO CIAŁA

Kiedyś księża rzucali sutannę w ciszy i wielkiej tajemnicy. Dziś coraz częściej robią to publicznie, liczba odejść rośnie, a ze stanu kapłańskiego odchodzą ludzie powszechnie znani. Najnowszym przykładem jest dominikanin ojciec Wojciech Jędrzejewski.

Anna Gronczewska, Matylda Witkowska

Ojciec Wojciech Jędrzejewski był znanym w Polsce dominikaninem, dobrym kaznodzieją. Urodził się w 1968 roku. Pochodzi z Kamienia Pomorskiego, gdzie skończył technikum gastronomiczne.

- Miałem już gotowy plan na życie: najpierw praca w kuchni na promie do Szwecji, potem otwarcie dochodowej smażalni ryb nad morzem - opowiadał nam przed laty. - Jednak przed maturą zdecydowałem, że chcę być kaznodzieją.

Do zakonu dominikanów wstąpił w 1988 roku, sześć lat później przyjął święcenia kapłańskie. Przez wiele lat posługiwał w Warszawie, gdzie był duszpasterzem młodzieży. Potem wyjechał do Łodzi, został przeorem tworzącego się ośrodka dominikańskiego przy ul. Zielonej. Tu był też duszpasterzem akademickim. Był jednym z najpopularniejszych kaznodziejów działającego w Łodzi Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego. Udzielał się w mediach katolickich. Prowadził popularny przed laty portal „Mateusz”. Współpracował z Radiem Plus, można było go posłuchać na kanale Religia.tv. Współpracował między innymi z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią”. Napisał kilka książek „Ewangelia dominikańska” czy „Fascynujące zaproszenie”.

W telewizji internetowej Boska.tv prowadził program „Boska uczta”, gdzie gotował różne potrawy, które oceniali znani kucharze.

- Kościół podobny jest do zielonego ogórka: żeby dostrzec jego zalety, trzeba najpierw przebić się przez skórkę - tłumaczy dominikanin.

Zakon nie bierze odpowiedzialności

Dlatego informacje, które pojawiły się kilka dni temu, wywołały wielkie zaskoczenie. Zakon dominikanów wydał w sprawie ojca Wojciecha Jędrzejewskiego komunikat.

- Informuję, że ojciec Wojciech Jędrzejewski OP postanowił zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zgodę na przeniesienie do stanu świeckiego i możliwość opuszczenia zakonu - napisał w nim Szymon Popławski OP, socjusz prowincjała dominikanów. - Prośba została przyjęta przez o. prowincjała do dalszego procedowania. Ojciec Wojciech Jędrzejewski podjął również decyzję o opuszczeniu klasztoru dotychczasowego zamieszkania. Przypomnę, że od 1 października 2024 r. działalność publiczną o. Wojciecha Jędrzejewskiego była zawieszona w związku prowadzonymi czynnościami kanonicznymi. Po podjęciu decyzji o wystąpieniu z zakonu i stanu duchownego oraz wyprowadzeniu się z klasztoru, zakon nie

bierze odpowiedzialności za jakiegokolwiek działania o. Wojciecha Jędrzejewskiego.

Od razu pojawiły się różne spekulacje dotyczące powodów takiej decyzji znanego dominikanina. Nie chciał się na ten temat wypowiadać Tomasz Terlikowski, popularny publicysta katolicki. Zamieścił jednak komentarz na ten temat na Facebooku.

- Szanuję też prawo do milczenia zarówno zakonu, jak i Wojciecha Jędrzejewskiego - napisał Tomasz Terlikowski. - Osobiste wybory, osobiste decyzje, jeśli nie łączą się z tuszowaniem przestępstw lub przestępstwami, powinny zostać uszanowane. Były już dominikanin może, jeśli będzie chciał, o nich opowiedzieć, a jeśli pojawią się nowe, rzucające odmiennie światło na tę decyzję okoliczności, to być może powinni się do tego odnieść dominikanie. Jeśli jednak nie mamy w tej sprawie do czynienia z przestępstwem, a ze spłotem wydarzeń, może błędów, może grzechów, to dojrzałość wymaga, by pozwolić ludziom o tym milczeć. I nie, nie ma tu podobieństwa do innej medialnej sprawy, innego zakonika (...). Trudno też uciec od wrażenia, że ta - przecież nie pierwsza, i z pewnością nie ostatnia sprawa - przypomina nam z całą mocą, że duchowni są ludźmi, że nie na nich mamy budować naszą wiarę, i że ani charyzmatyczność, ani zaan-

gażowanie, ani nawet fakt, że pomagało się wielu osobom, nie chroni przed błędami. Jeśli mamy trwać w Kościele, to wiązanie emocji z ludźmi zawsze jest skazane na porażkę. Tym zaś, którzy odchodzą - na skutek rozmaitych błędów (nie zawsze swoich), spłotów okoliczności czy zmian - trzeba (jeśli tego chcą) dyskretnie towarzyszyć, wspierać, a także pozwolić na nowe życie. Wyjątkiem jest sytuacja, w której wydarzyła się nierozliczona krzywda, gdy tuszuje się krzywdę i pozwala ją czynić nadal. To jest ten wyjątek, który sprawia, że nie wolno milczeć.

Osobista decyzja i łamanie ślubów czystości

Tymczasem po kilku dniach sam Wojciech Jędrzejewski postanowił wyjaśnić powód swej decyzji.

- Odejście z zakonu i ze stanu duchownego jest moją osobistą decyzją - napisał w oświadczeniu opublikowanym na portalu „Więzi”. - Decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości, do której się zobowiązałem. Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę. Katolicyzm był i pozostaje przestrzenią mojego przeżywania Boga.

Wojciech Jędrzejewski jednocześnie zaznaczył, że nie będzie już komentował tej sprawy.



Dominikanin nie jest pierwszym i pewnie ostatnim zakonnikiem czy księdzem diecezjalnym, który żegna się ze stanem duchownym. Ostatnie dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dotyczące takich spraw pochodzą z 2017 roku. Wtedy w Polsce kapłaństwo porzuciło 73 księży. Natomiast od 2000 do 2017 roku sutannę w Polsce rzucało rocznie przeciętnie 56 księży diecezjalnych.

W ostatnim czasie takich przypadków jest coraz więcej. Na przykład w wakacje 2023 roku w archidiecezji poznańskiej z kapłaństwa odeszło pięciu księży. Ówczesny metropolita poznański abp Stanisław Gądecki wystosował w tej sprawie specjalny list do księży, w którym wzywał do nawrócenia. Z kapłaństwa odchodzą też księża pracujący w archidiecezji łódzkiej, choć te sprawy nie są nagłaśniane. Od kilku lat kapłanem nie jest już na przykład były wicerektor łódzkiego seminarium. Otrzymał od papieża zwolnienie ze ślubów czystości i mógł wziąć ślub kościelny.

Jedno z pierwszych głośnych odejść w polskim Kościele wykonał jezuita Stanisław Obirek. W 2005 roku ogłosił, że po 29 latach opuszcza zakon. Jak twierdził później, narastały w nim wątpliwości dogmatyczne, ale bezpośrednią przyczyną odejścia była krytyka Jana Pawła II na łamach belgijskiego dziennika „Le Soir”, w którym porównał zmarłego właśnie polskiego papieża do... „proboszcza wiejskiej parafii”. Został za to ukarany zakazem wykładów i kontaktów z mediami, po czym wystąpił z zakonu. Jako osoba świecka Obirek jest aktywnym publicystą i naukowcem, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał wiele książek, w tym najbardziej znaną „Gomórę” o władzy, strachu i pieniądzu w polskim Kościele. Ożenił się.

W roku 2007 stan duchowny opuścił dominikanin Tadeusz Bartoś, który też w życiu świeckim zajął się publicystyką i pracą naukową na Uniwersytecie Ekonomicznym

JEDNO Z PIERWSZYCH GŁOŚNYCH ODEJŚĆ W POLSKIM KOŚCIELE WYKONAŁ JEZUITA STANISŁAW OBIREK. W 2005 ROKU OGŁOSIŁ, ŻE PO 29 LATACH OPUSZCZA ZAKON



Od 2000 do 2017 roku
sutannę w Polsce rzucało
rocznie przeciętnie 56 księży
diecezjalnych

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/ARCHIWUM PPG

w Krakowie. Niemal jednocześnie z nim sutannę zrzucił ks. Tomasz Węclawski, wcześniej rektor Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu i dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Węclawski przyczynił się do nagłośnienia sprawy molestowania kleryków przez abp. Juliusza Paetza, przez co spotkał się z szykanami. W roku 2007 opuścił stan duchowny, a rok później dokonał apostazji. Odnalazł się w życiu pozakościelnym, na poznańskim uniwersytecie zaczął pracować jako wykładowca świecki. Opinia publiczna zapamiętała jego symboliczną zmianę nazwiska - Węclawski ożenił się i przyjął nazwisko panieńskie żony. Teraz nazywa się Tomasz Polak.

„Przestał się bać zwyczajnej miłości”

Wspieranie ofiar księży skończyło się też odejściem z Kościoła katolickiego dominikanina Marcina Mogielskiego. Zakonnik wspierał m.in. poszkodowanych przez swojego współbrata Pawła M., który ze studenckiego duszpasterstwa stworzył coś na kształt sekty, w której stosował „modlitwę nagością” i kary cielesne. Mogielski walczył o prawdę, ale nie wszystkim się ta działalność podobała. W konsekwencji dwa lata temu w Wielką Sobotę ogłosił, że od-

chodzi z Kościoła katolickiego i przechodzi do protestantów. Dziś wspiera osoby w kryzysie w nurcie radykalnego wybaczenia.

Wspieraniem psychologicznym zajął się też były przeor klasztoru dominikanów w Gdańsku Jacek Krzysztofowicz. Duchowny spędził w biało-czarnym habicie ćwierć wieku, przyciągał na swoje wieczorne msze św. tłumy wiernych, po czym 12 lat temu nagle ogłosił, że odchodzi, bo „przestał się bać zwyczajnej miłości”.

Początkiem końca jego zakonnej drogi była książka o przestrzegających absurdalnie surowych reguł mnichach z Indii. Dominikanin zrozumiał, że też żyje w podobny sposób i przestał wierzyć w sens aż takich wyrzeczeń. Zakochał się, ożenił i przeprowadził do Łodzi, gdzie pracuje jako psychoterapeuta. Wspiera rodziców dzieci autystycznych i nie udziela się publicznie.

Dziewięć lat temu wierni z Łodzi śledzili odejście innego dominikanina - ojca Adama Wyszyńskiego. Młody zakonnik prowadził duszpasterstwo akademickie, doświadczył jednak nagłych i poważnych problemów zdrowotnych, co zmieniło jego spojrzenie na zakon. Potem w programie Zbigniewa Stonogi wyznał, jak od jednego z braci miał otrzymać niedwuznaczną propozy-

cję, a przez drugiego... został uderzonym patelnią w pośladek. Zakon wydał lakoniczne oświadczenie, natomiast ojciec Wyszyński zaprzyjaźnił się z księdzem Jackiem Międlarem.

Tam, gdzie sutanna zahacza o politykę

Połączyła ich sytuacja życiowa. Należący do zgromadzenia Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo Jacek Międlar zdobył wątpliwą sławę z powodu swoich wystąpień nacjonalistycznych i homofobicznych. W końcu opuścił swoje zgromadzenie, ale nie zrezygnował z działalności publicznej. Brał udział w kontrowersyjnych marszach narodowców we Wrocławiu, miał też kilka procesów w związku ze swoimi wypowiedziami. Poglądów nie zmienił. Działa publicznie, napisał kilka książek, w tym dzieło pt. „Moja walka o prawdę. Wyznania byłego księdza”.

Polityka nie pomogła też w karierze innego księdza - Tymoteusza Szydło. Święcenia miał w czasie, gdy jego matka była szefową rządu. Jego pierwsze odprawiane msze św. stały się wydarzeniami medialnymi, ale w młodym duchownym narastał kryzys wiary. Ostatecznie wystąpił o przeniesienie do stanu świeckiego. Wyraził przy tym żal, że stał się ofiarą poszukiwaczy sensacji, przyznając jednak, że niepotrzebnie dał się skojarzyc z jedną opcją polityczną.

To tylko kilka przykładów głośnych odejść z kapłaństwa. Ale niektórzy zrzucają sutannę w ciszy.

Odejścia i powroty

Ta historia wydarzyła się przed laty. Kazimierz był księdzem z ponad 10-letnim stażem, kiedy poznał Iwonę. Dobrze się im rozmawiało, z czasem zaprosił ją do kawiarni. Ona wiedziała, że jest księdzem. Przez kilka miesięcy ukrywali swój związek. Nagle okazało się, że Iwona jest w ciąży. Na Kazimierza spadło to jak grom z jasnego nieba. Postanowił jednak nie zostawiać Iwony i ich nienarodzonego jeszcze dziecka. Odszedł z kapłaństwa. Zamieszkali razem. Na świat przyszła ich córka Kasia. Kazimierz nie widział poza nią świata. Ale nie mógł też zapomnieć o kapłaństwie. Został księdzem polskokatolickim. W tym Kościele kapłani mogą mieć żony. Odprawiał msze święte, a po nich wracał do swojej rodziny. Kasia miała 5 lat, gdy wyjechała z rodzicami na wakacje nad morze. Tu doszło do nieszcześćcia. Wystarczyła chwila nieuwagi i dziewczynkę pochłonięły fale Bałtyku.

- To moja wina, moja wina! - powtarzał Kazimierz. Nie mógł pogodzić z tym, co się

KS. ISAKOWICZ- ZALESKI ZAUWAŻAŁ, ŻE W OSTATNICH LATACH SUTANNĘ ZRZUCAJĄ NAJCZĘŚCIEJ MŁODZI KSIĘŻA MAJĄCY PO KILKA LAT KAPŁAŃSTWA

stało. Bardzo pomogli mu wtedy koledzy, z którymi uczył się w rzymskokatolickim seminarium. Kazimierz postanowił wrócić na łono Kościoła. Procedury trwały długo, ale powrócił do kapłaństwa. Nie do diecezji, w której pracował. Skierowano go do pracy na zachodzie Polski. Został tam nawet proboszczem.

Kiedy parafianka za bardzo się spodoba

Jednak każdy przypadek porzucenia kapłaństwa jest inny. Zwykle księża nie robią tego z dnia na dzień. Rozmawia z nimi biskup diecezjalny. Często zanim zdecydują się na ostateczny krok, idą na urlop. Na rok, dwa, a nawet trzy lata. Może być spowodowany problemami zdrowotnymi, ale czasem taki ksiądz potrzebuje czasu, by przemyśleć pewne sprawy. Nadchodzi kryzys powołania i musi sobie z tym poradzić.

Józef już dawno nie żyje. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Urodził się na Wileńszczyźnie. Był ministrantem. Codziennie biegał na msze święte. Bardzo pobożna mama nie musiała go na to namawiać. Józef zdał maturę i postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. Mimo że wybuchła wojna, nie zrezygnował ze swoich planów. Przyjął śluby zakonne, święcenia kapłańskie. Po wojnie jako repatriant razem z mamą przyjechał do Polski. Jego Wilno było już częścią Związku Radzieckiego. Formalnie dalej był jezuitą, ale z czasem został księdzem diecezjalnym. Pracował w diecezji wrocławskiej. Kiedyś przypadkiem spotkał Krysię, dziewczynę, którą przed laty poznał w Wilnie. Zainteresował się nią, bo pięknie śpiewała, on grał na skrzypcach...Krysia mieszkała z rodzicami w Łodzi. Miała 26 lat, była kilka lat młodsza od Józefa.

- Zakochałem się w niej, w jej głosie - zwierzał się potem Józef. - Nie mogłem przestać o niej myśleć, ale też wiedziałem, że bardzo chciałem być księdzem. Kochałem też Pana Boga.

Józefa dręczyły wyrzuty sumienia. Coraz częściej jednak spotykał się z Krysią. Wiedział, że robi źle, jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Scenariusz znów zaczął się powtarzać. Okazało się, Krysia jest w ciąży... Józef wiedział już jedno, musi odejść z kapłaństwa. Był to przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wzięli z Krysią ślub cywilny,

urodził się im syn. Kazimierz zaczął starać się w Watykanie o zwolnienie od celibatu. Takiego zwolnienia może dokonać tylko papież. Józef w końcu je uzyskał. Znów mógł przyjmować komunię świętą, a przede wszystkim wziąć ślub kościelny z Krysią. Udzielił im go w swojej prywatnej kaplicy biskup Michał Klepacz, ówczesny ordynariusz diecezji łódzkiej. Józef uczył muzyki w łódzkich szkołach, Krystyna też była nauczycielką.

- Józef codziennie przed pracą chodził do kościoła na mszę i przyjmował komunię świętą - zapewnia jego dobra znajoma. - To był naprawdę bardzo dobry człowiek. Nie wolno zapominać, że nie ma zwolnienia ze święceń kapłańskich. Są one ważne do końca życia wyświęconego kapłana. Nie może on jednak sprawować sakramentów świętych.

Józef zmarł nagle. Nie wiedział, że jego synowa jest w ciąży. Kilka miesięcy po jego śmierci na świat przyszedł Michał. Chłopiec urodził się ze zniekształconą nogą...

Sutannę zrzucają młodzi księża

Nieżyjący już ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, współzałożyciel i prezes Fundacji im. Brata Alberta twierdził, że przyczyn odejść z kapłaństwa jest wiele.

- Kiedyś zupełnie inaczej wyglądało przygotowanie do kapłaństwa - wyjaśniał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Ja studiowałem w krakowskim seminarium w latach siedemdziesiątych. Wtedy wielu kleryków odbywało służbę wojskową. Po jej odbyciu część nie wracała do seminarium. To już był jeden z elementów selekcji. Poza tym w seminarium mieszkaliśmy w spartańskich warunkach. Spaliliśmy na piętroch łóżkach. Były szykany ze strony władz, inwigilacja. Wyświęceni księża byli zahartowani.

Ks. Isakowicz-Zaleski zauważał, że w ostatnich latach sutannę zrzucają najczęściej młodzi księża mający po kilka lat kapłaństwa.

- To bardzo niepokojące - martwił się ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Pojawia się pierwszy poważny problem i odchodzą. Moim zdaniem to nie sprawa celibatu, choć na pewno dla niektórych jest on problemem. Nie są przygotowani do zderzenia z rzeczywistością. Przez sześć lat są trzymani pod kłosem. Trafiają

na parafie i stykają się z problemami. Zaczynają uczyć w szkole religii, co dziś jest bardzo trudne. Nie każdy ksiądz ma predyspozycje, by być nauczycielem. Przy pierwszych konfliktach, problemach, młody ksiądz decyduje się odejść z kapłaństwa. Gdy kończyłem seminarium, wyświęcono ponad 50 księży. Z kapłaństwa odeszło dwóch kolegów.

Jacek sutannę zrzucił w latach osiemdziesiątych. Pochodzi z Łodzi. Miał bardzo religijną mamę. Bardzo chciała, by jej syn został księdzem. Jacek miał kilkanaście lat, gdy posłała go do niższego seminarium ojców franciszkanów. Ale Jacek nie zdawał tam matury. Postanowił odejść z niższego seminarium. Do egzaminu dojrzałości przystąpił w świeckim liceum. Dalej jednak, przy wielkiej aprobachie mamy, chciał być księdzem. Wstąpił więc do paulinów, ale po jakimś czasie przeniósł się do paulistów. W końcu stwierdził, że chce być księdzem diecezjalnym. Starał się o przyjęcie do Wyższego Seminarium Duchownego diecezji łódzkiej. Ale odmówiono mu. Wtedy próbował szczęścia w seminarium częstochowskim. Tam go przyjęto. Został wyświęcony na księdza. Skierowano go do parafii znajdującej się niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego, ale na terenie diecezji częstochowskiej. Grał pięknie na gitarze. Ludzie go polubili. Ale najbardziej spodobał się jednej z parafianek. Postanowił więc odejść z kapłaństwa. Potem w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego wziął ślub cywilny. Wywołało to zgorzienie części tamtejszej społeczności. Jacek dalej chciał być jednak księdzem, więc przeszedł do Kościoła polskokatolickiego. Pracował najpierw w Polsce, dziś z rodziną mieszka w Stanach Zjednoczonych. Dalej jest księdzem polskokatolickim.

Kiedyś księża odchodzili z kapłaństwa cicho, w tajemnicy. Teraz takie decyzje bywają sprawami medialnymi. Ks. Michał Macherzyński, proboszcz w parafii pw. Matki Bożej Królowej Aniołów w Tychach-Wilkowicach podczas Bożego Ciała ogłosił, że zrzuca sutannę. Wierni przyjęli to oklaskami.

- Myślę, że te głośne odejścia są rodzajem usprawiedliwienia, pokazania, że ja jestem dobry, a Kościół zły - uważał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Znam księży, którzy odeszli z kapłaństwa, nie robili z tego show, znaleźli sobie potem sensowne zajęcie. Prowadzę fundację i byli księża, zakonnicy, siostry zakonne angażują się w jej prace jako wolontariusze. Robią dalej coś dobrego, odnajdują się w innej pracy. Ale znam takich, którzy nie odnajdują się w nowej rzeczywistości.

W DRUGIM ŻYCIU PAN PAWEŁ PRZESIADŁ SIĘ NA... TARYFĘ

Przed trzema laty Paweł Brągiel został zaatakowany przez napastnika kamieniami i siekierą. Cudem uniknął śmierci. Zawsze marzył o tym, żeby wozić ludzi po Wiśle taką taksówką, jaka jeździła w serialu Barei „Zmiennicy”. Teraz realizuje swoje marzenie

Jacek Drost

Pamiętacie słynną taksówkę z 15-odcinkowego serialu „Zmiennicy” w reżyserii Stanisława Barei, w którym obśmiewane były absurdy PRL? Starsi pewnie doskonale kojarzą żółtego dużego fiata 125 z numerem bocznym 1313 i naklejonymi na drzwiach literami WPT, które były skrótem od nazwy Warszawskie Przedsiębiorstwo Taksówkowe, prowadzonego przez Mieczysława Hryniewicza z dłuższymi wówczas włosami i piękną Ewę Błaszczuk z elegancjami... wąsami. Młodszy niekoniecznie, więc zachęcam do nadrobienia zaległości.

Sposobność ku temu jest doskonała, gdyż bliźniaczo podobna taksówka, również z literami WPT i numerem bocznym 1313, od niedawna kursuje po... Wiśle. To właśnie nią można wybrać się w sentymentalną podróż do czasów słusznie minionych. Za jej kierownicą spotkamy mieszkańca Pawła Brągiela, byłego samorządowca, działacza społecznego, który otarł się o śmierć i, jak sam mówi, dostał drugie życie - w marcowy poranek 2022 roku został przed domem zaatakowany przez napastnika z siekierą.

Osiem ciosów

- Wychodząc rano do pracy, przed domem w Wiśle Łabajowie, gdzie mieszkałem, zostałem napadnięty. Próbowano mnie zabić. Dostałem sześć ciosów dużym kamieniem w twarz oraz otrzymałem dwa uderzenia siekierą do rozłupywania drewna. Napastnika przegonił domownicy i najbliżsi sąsiedzi, którzy zareagowali z narażeniem własnego życia. Przed przyjazdem policji i służb napastnik uciekł. Przybiegli inni sąsiedzi i zaczęła się akcja ratunkowa - wspomina tragiczny dzień pan Paweł.

Tylko dzięki błyskawicznej reakcji innych osób, w tym służb ratunkowych oraz lekarzy, Paweł Brągiel nie przeplacił tego ataku życiem. Z samego zdarzenia nic nie pamięta, późniejszych dni także.

- Byłem ostatnią osobą, która dowiedziała się, co się stało. Przez miesiąc, do 25 kwietnia,

byłem w szpitalu, najpierw na OIOM-ie, później na oddziale otolaryngologii. Długo mnie wybudzano. Przez pierwsze doby to była walka o życie, walka z nadciśnieniem, bo po urazie głowy dostałem ciśnienia między 160 a 240 na 100. Drugiego dnia zaczęły się problemy z oddychaniem, może dlatego, że trzy tygodnie przed tym zdarzeniem przeszedłem COVID, on się odezwał, więc podłączono mnie do respiratora. Walka o moje życie trwała pięć dni, później wszystko zaczęło się stabilizować - zwierzał się na łamach DZ pan Paweł.

Jednak sześć ciosów dużym kamieniem i dwa siekierą zrobiły swoje.

- Mam szczękę złamaną w sześciu miejscach, łącznie z podniebieniem, uszkodzone zatoki szczękowe, nos, przesunięte było oko. Mam też 10 części metalowych w twarzy, czaszkę u góry miałem całkowicie pokiereszowaną. Po tygodniu przeszedłem operację twarzoczaszki w Katowicach, w szpitalu na Francuskiej. W szpitalu w Bielsku-Białej zajmowano się moimi otwartymi ra-

nami, a po tygodniu, jak już mogli mnie przewieźć, to zostałem przewieziony do Katowic. Tam operacja trwała sześć godzin, brało w niej udział wielu lekarzy, była pani profesor i dzięki nim wyglądam jak wyglądam, żyję jak żyję - opowiadał wiślanin.

Potem była półtoraroczna rehabilitacja rękoma i palcami twarzy przez kolejnego „anioła” Jakuba Pilcha.

Wspominał, że napastnika znał kilka miesięcy, od grudnia 2021 roku. To był Polak. Przyjechał z mamą i psem malamutem z Kanady.

- Jak go poznałem, to na początku mu pomagałem, starałem się znaleźć mu pracę. Nie przyjął tej pomocy. Widywaliśmy się sporadycznie, mówiliśmy sobie „Cześć”. Później zacząłem się izolować od niego, bo wyczuwałem, że coś jest nie tak. Była taka sytuacja, kiedy pierwszy raz go zobaczyłem - wysiadł z auta ze swoją mamą, ja na niego popatrzyłem, oni zapytali o coś i w tym momencie z góry lub ze środka Bóg powiedział: „Paweł, uważaj! Będą problemy” - opowiada wiślanin.

Faktycznie były...

NA PASAŻERÓW CZEKAJĄ TAKŻE NIESPODZIANKI. KAŻDY DOSTAJE ŻÓŁTĄ GUMĘ „DONALDA”, A FANI SERIALU „ZMIENNICY” KARTKI NA MIĘSO, PALIWO I SŁODYCZE

Pomysł na życie

W trzy lata po feralnym zdarzeniu pan Paweł ma trzecią grupę inwalidzką, jest na rencie. Jednak nie jest wystarczająca na życie, więc jest zmuszony na szukanie dodatkowego zarobku.

- Dowiedziałem się, że w Powiatowym Urzędzie Pracy w Cieszynie jest konkurs na dotację z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Pomyślałem, że mógłbym spróbować w nim wystartować - opowiada Paweł Brągiel. Dodaje, że w poprzednim życiu miał dwa niezrealizowane marzenia - jednym z nich było, żeby wozić ludzi po Wiśle taryfą (nie taksówką, jak mówi, ale właśnie taryfą) taką jaką była w serialu „Zmiennicy”.

- Z pomocą PFRON udało mi się takie auto kupić. Znalazłem takiego dużego fiata w Pile. Kolega wsiadł w pociąg i przywiózł mi go. Można powiedzieć, że jest on bardzo wierną repliką samochodu ze „Zmienników”. Jedynie kolor siedzeń jest inny, bo w filmie były czarne, a u mnie są brązowe, trochę inaczej zamontowane są kierunkowskazy, ale w środku praktycznie nie ma żadnej różnicy - antena na szybie jest zamontowana, wszystkie naklejki też są, a nawet jest długopis i taksometr „Polax 2” - opowiada pan Paweł. Dodaje, że nawet numer boczny 1313 i litery WPT się znalazły, ale w tym przypadku oznaczają Wiślańskie Przewozy Turystyczne.

- Próbuje nim jeździć. Reakcje są różne. Młodzi ludzie bywają zachwyceni; mówią, że fajna fura. Starsi kojarzą „kancioki” i się uśmiechają. Jest też pewna grupa miłośników filmów z PRL-u, którzy zaglądają do środka czy wszystko jest na swoim miejscu. I są pod wrażeniem - mówi wiślanin, który obwozi ludzi po Perle Beskidów w koszulce z Levisem Jacka Żytkiewicza, głównego bohatera serialu „Zmiennicy”, oraz kurtce jeansowej.

Na pasażerów jego taryfy czekają także niespodzianki. Każdy dostaje żółtą gumę „Donalda”, przy wydawaniu reszty - banknoty z minionej epoki, a jak ktoś jest grzeczny lub jest fanem „Zmienników”, to może otrzymać nawet... kartki na mięso, słodycze i paliwo.

Przejażdżka po Wiśle

Pan Paweł oferuje kursy okazjonalne po Wiśle, ale jeśli ktoś zażyczy sobie nieco dłuższą przejażdżkę, to też jest taka możliwość. Wystarczy zadzwonić na numer telefonu 72-72-72-185 i wcześniej się umówić. W planach jest też weekend w Gliwicach, w rodzinnym mieście Pawła, więc może będzie okazją dla innych. Można też WPT wynająć na event, imprezę okolicznościową czy rodzinną rocznicę.

- Na postojach nie mogę stać, bo nie jestem taksówką, ale jak ktoś zamówi kurs to podjadę - zapewnia wiślanin.

Cena za przejażdżkę po Perle Beskidów zaczyna się od 50 złotych wwyż; można także skorzystać o opcji VIP-owskiej, oczywiście nieco droższej, ale wówczas można liczyć na poczęstunek kawą fusatą w szklance i wuzetką (niewykluczone, że od przyszłego roku będzie można także delektować się PRL-owskim obiadem - pomidorową z ryżem, mortadellą udającą schabowego z ziemniakami, mizerią i kompotem podanymi na stole nakrytym ceratą).

- Chcę zadbać o odpowiedni klimat - podkreśla Paweł Brągiel, choć ze zdrowiem jest ciężko, to udało się odbyć kilka kursów po Wiśle. Liczy, że z czasem będzie ich więcej.



FOT. ARC PAWŁA BRĄGIELA

Paweł Brągiel kupił dużego fiata, podobnego do tego jak w filmie „Zmiennicy”. Zaprasza na przejażdżkę po Wiśle



drzewko
za surowce
wtórne

11

PAŹDZIERNIKA
SOBOTA godz. 10-13
Galeria Twierdza
ul. Przemysłowa 10
Zamość

PRZYNIEŚ
ELEKTROODPADY
LUB MAKULATURĘ,
ODBIERZ
SADZONKI
DRZEW



ORGANIZATOR

kurierlubelski

PARTNERZY WYDARZENIA



Regionalna Dyrekcja
Lasów Państwowych w Lublinie

GALERIA
twierdza

ECO HARPOON
Recycling Sp. z o.o.

PATRONAT MEDIALNY



Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Głogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.
- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbru, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starszy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strome – ostrzega. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst Robert Migdał Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Głogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi”.

A burmistrz Eugeniusz Hoinka zapisał we wspomnieniach: „10 Maja 1945 roku, o godzinie 10.30 w imieniu władz polskich przejąłem miasto wraz z resztą ludności niemieckiej oraz rannymi jeńcami niemieckimi”.

Domy przy wtedy jeszcze Herderstrasse, nazwanej tak na cześć niemieckiego pisarza Johanna Herdera, przetrwały oblężenie Głogowa – Twierdzy Głogów, czyli Festung Głogau – zimą 1945 roku. W większości nienaruszone.

- Jedyny dom na ulicy został zniszczony nie w czasie Festung Głogau, ale

„Każdy dom posiadał od ulicy kwietnik, na niektórych posadzono ozdobne drzewa. Potężne modrzewie i świerki rosły do niedawna przed nr 2, 8 i 9, a przed nr 3 – okazała czereśnia. Za budynkami z obu stron urządzono ogrody warzywne. Rosły tam również drzewa i krzewy owocowe. W komórkach i w specjalnych budowlach, hodowane były zwierzęta. Niektóre mieszkania centralnie ogrzewane, inne były ogrzewane piecami kaflowymi. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędom, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

- W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Głogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszkanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Głogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okrucami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześćro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepiłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenią sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodzinę, też się częstuje. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać.

- Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysłe („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrzynki pocztowej” – wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców – przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń – do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami – poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte – elegancko – obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wyładować imieninowy tort, obok – ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wieśza kolorowe trójkąci na płotach („wcześniej były balony, ale powie-trze z nich schodziły i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łyż radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat – jak tę tragiczno-śmieszną, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) – słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają – kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna – mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da.

Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowanie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba – mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób – uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu – dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba – mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem – radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy – dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin – każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siadają i dzieci, i dorośli, w tym historycy – ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługuje starszym, a to kawę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu – śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiedzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, znosiły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli ja-cyś sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? - dopytuję.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiedzka tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

zasady. My to szanujemy, choć integrować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak – nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, ryzyk-fizyk, najwyższej przeklnie mnie albo wyśmiej, że zachwyam się 10 Maja.

Mały, zadbane dom. Równie przystrojony żywoplot, który zastraszania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” – opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem – na ścianie pozwieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch luster: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytuje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odwiedzającym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna

Przy płocie – dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słychać żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim naciśnę dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylił i rzucił „złym słowem” – mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłem bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku

ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na środek ulicy. I tańczą. Cudowny widok – śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam – kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogumiła napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charaktery pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Napełniłam beztroską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki – dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteśmy częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).”

„Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”.

„To możliwość poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Drodzy sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczą się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbane. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze – na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin złanych deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszczą. Tak, tak. Zazdroszczą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach – ludzie się nie znają. Nie to co u nas... - mówi pani Teresa, malarka.

Jej mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca – prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo krzywo nie patrzy, nikt na nikogo źle nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarci sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił któregoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przenieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słycać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin

ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Największą uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich miastach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat!

Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilijańska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany głogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny głogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorki i w piątki przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opo-

wiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierziesz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuje, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiłmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli na środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał co będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewiąta wieczór, wprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego, dużego, który utknął przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natych-

miast przestawało pracować. Zaszły pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operację na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wylądowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, ponemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pan szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalał doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkałam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuje.

- Nie. Tu mnie cieli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świnobiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czworkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dieciarnia na środku jezdni bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywcą pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdni się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucz mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, poddychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienie o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkałem w Głogowie, w bloku w wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?

- A państwo mieli dwóch synów.

- A jak tam siostra?

- A co słysząc u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słysząc.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmioletcu) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przysłowiowy pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

WOJCIECH SMARZOWSKI: WIERZĘ W TO, ŻE FILM MOŻE COŚ W NAS ZMIEŃCIĆ, BO INACZEJ NIE WYCIĄGAŁBYM KAMERY Z SAMOCHODU

Rozmowa z Wojciechem Smarzowskim, reżyserem filmowym i teatralnym, scenarzystą oraz operatorem filmowym. 7 listopada do kin w całym kraju wejdzie najnowszy film autorstwa artysty, zatytułowany „Dom dobry”, poświęcony problemowi przemocy domowej. W produkcji główne role zagraли Agata Turkot, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi oraz Tomasz Schuchardt

Dariusz Pawłowski

Trudno zrozumieć, dlaczego pana nowy film, „Dom dobry”, nie okazał się dość dobry dla jurorów Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ale można pominąć tego tytułu w werdykcie potraktować symbolicznie, jako obraz pana relacji z tak zwanym środowiskiem. Czy postawa artysty osobnego, stojącego nieco obok rozmaitych rozgrywek i działań promocyjnych, to wybór czy konieczność?

Startuję w indywidualnej dyscyplinie i nie wiem, jak postępują inni reżyserzy. Ja robię swoje, i tyle. I w taki sposób, jeżeli pan pozwoli, wolałbym zamknąć odpowiedź na to pytanie. Ale dziękuję za takie ustawienie mojej sytuacji, jakie zasugerował pan w pytaniu, bo jest mi ono bliskie.

Czy do takiej autonomiczności właśnie przygotowywano w Łódzkiej Szkole Filmowej, którą ukończył pan w 1990 roku, co warto podkreślić, na Wydziale Operatorskim? Do Szkoły Filmowej w Łodzi udało mi się dostać dopiero za trzecim razem, na wspomniany Wydział Operatorski. Ja chyba wtedy kombinowałem w ten sposób, że na operatorskim było dziesięć miejsc, a na reżyserii tylko osiem, no to łatwiej się było dostać na operatorski, prawda? Dobrze, trochę żartuję, rzecz jasna... Po pierwszym roku już wiedziałem, że się nie nadaję na operatora, bo w tej materii trzeba podążać za technologią i operator musi czekać na tekst, na to, czy wybierze go

reżyser. A mnie już zaczęło interesować samodzielne robienie filmów. Na trzecim roku napisałem scenariusz „Małżowiny”, tworzyliśmy też wtedy z Łukaszem Kośmickim scenariusz „Domu złego” – on jeszcze wtedy wyglądał zupełnie inaczej niż to, co potem oglądaliśmy na ekranie. To wszystko sprawiło, że wiedziałem już, że chcę robić filmy jako reżyser. To była długa droga, ale w końcu się udało.

Czy wiedza zdobyta na Wydziale Operatorskim pomogła w pracy reżysera?

Zaraz po skończeniu Szkoły Filmowej mówiłem, że dała mi ona dwie rzeczy: możliwość oglądania filmów w kinie, bo oglądałem nierzadko po dwa-trzy filmy dziennie oraz kort tenisowy, którego teraz w Szkole już nie ma. Jednak z perspektywy czasu wiem, że ta uczelnia dała mi więcej. Przede wszystkim mogłem się kontaktować z ludźmi, którzy podobnie jak ja postrzegają świat. A z wykładów, które początkowo mi gdzieś uciekły, pozostało dużo rozmów o znaczeniach, a na nich mi w kinie zależy najbardziej.

W okresie studiów spędził pan w Łodzi sześć lat. Jak postrzegał pan wtedy nasze miasto?

Trudno było zostać jego fanem. Mieszkałem przy ulicy Piotrkowskiej, przy Parku Słędzia, na Dąbrowie i na ulicy Radwańskiej. Lata spędzone w Łodzi spowodowały, że jestem zawodowo w tym miejscu, w którym jestem. Chodzi

nie tylko o Szkołę Filmową, ale jeszcze bardziej o ludzi, z którymi spotkałem się i w uczelni, i w kinie Cytryna, czy w Siódmkach. Oni mieli tak samo narąbane w głowie jak ja i podobnie jak ja postrzegali świat. Później, nawet jak bywałem w Łodzi, to pracowałem, nie miałem możliwości przyglądania się miastu. Dopiero niedawno, odsłaniając swoją gwiazdę w Łódzkiej Alei Gwiazd na Piotrkowskiej, mogłem dostrzec, jak bardzo od tamtego czasu Łódź się zmieniła.

Już pana pierwszy kinowy film, „Wesele” z 2004 roku, wywołał wiele emocji, a kolejny, „Dom zły” z roku 2009, ustanowił pana pozycję jednego z najważniejszych i najsilniej oddziałujących współczesnych polskich reżyserów. Powiedział pan jednak przed chwilą, że ten scenariusz powstał jeszcze na studiach. Co go zainspirowało?

Z Łukaszem Kośmickim znaleźliśmy artykuł, chyba w piśmie „Detektyw”, opisujący historię rodziców, którzy przez pomyłkę zabili własne dziecko. Ja jeszcze nie wiedziałem o sztuce „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego, ale jak kręciłem „Małżowinę”, to nasz scenariusz przeczytał Marcin Świetlicki i wskazał nam właśnie na ten dramat z okresu międzywojennego. Udałem się do biblioteki i zobaczyłem, że rzeczywiście, ten element historii opisanej w gazecie pochodzi z „Niespodzianki”. Ale uwaga, kiedy byłem z „Domem złym”

w Łowiczu, okazało się, że chyba w 1880 roku niejaki Tarczyński napisał tę samą historię jeszcze przed Rostworowskim. Nie wiem więc komu tak naprawdę ten pomysł ukradliśmy. Próbowaliśmy też odnaleźć autora tekstu w „Detektywie”, ale nie udało się. I ów mord dokonany przez rodziców przez pomyłkę na własnym dziecku był punktem wyjścia scenariusza, nie mieliśmy jeszcze wątku współczesnego. Potem długo nad tym tekstem pracowaliśmy, wiele zmienialiśmy, jednocześnie pisaliśmy scenariusz do filmu „Sezon na leszcza”, który zrealizował Bogusław Linda. W pewnym momencie do „Domu złego” dodałem sekwencje rozgrywane się w okresie wczesnego Jaruzelskiego. Miałem dużo czasu, żeby nad tym tekstem myśleć, a moją szkołą reżyserską było pierwsze „Wesele”.

Czego się pan wtedy nauczył?

Pisałem scenariusz, bardzo się starałem, zrobiłem to najlepiej, jak potrafiłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że praca nie zastąpi talentu. Producenti też nie do końca wiedzieli, czy ten tekst jest dobry, czy nie. Zaaranżowali spotkanie z Kazimierzem Kutzem, który był wtedy w Sejmie. Kutz podszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy, powiedział o scenariuszu: „Świetny, kręcicie”. I poszedł. Wiedzieliśmy więc, że mamy niezły tekst, ale kiedy weszliśmy w zdjęcia, okazało się, że połowę kwestii, które ja tak wypracowałem, aktorzy mogą

po prostu zagrać, zamiast je wypowiadać. Później w montażu jeszcze część kwestii powyrzucaliśmy. Na początku odebrałem to tak, że jestem mało zdolny, zanim zrozumiałem, że film to robota zbiorowa. Że trzeba się otaczać ludźmi, którzy podobnie postrzegają świat i czerpać od nich. Chodzi przede wszystkim o aktorów, bo to są moje – przepraszam za słowo – narzędzia, ale też o najbliższą ekipę. I teraz, gdy to już rozumiałem, to wiem, że bardzo lubię idąc na plan, przygotowując scenę, nie wiedzieć wszystkiego. To znaczy, muszę wiedzieć, do czego zmierza historia, o czym opowiadam, jaki będzie koniec i ostatnie ujęcie. Natomiast jeżeli będę wiedział z góry wszystko, to może już powinienem przestać robić filmy. Na razie zderzam się z aktorami i każdy z nich coś dokłada do mojej historii. Czasem jest tak, że nie zgadzam się i robię po swojemu, a czasem, kiedy nie wiem, to robię proponowany wariant. I sprawdzam, co lepiej pasuje. Nagadałem się teraz... A wszystko zamyka się w tym, co już powiedziałem, że film jest robotą zbiorową.

Czy to oznacza, że każdy kolejny film robi się łatwiej, czy też to, co zrobiło się wcześniej, nie ma znaczenia przy nowym projekcie?

Za każdym razem jest inaczej. Wynika to z tematu, ale ja też się zmieniam. Na przykład ten film o miłości z małym minusem, czyli „Dom dobry”, troszkę odchorowałem. Żeby jednak było jasne – lubię robić to, co robię.

Dlaczego pan odchorował?

Robiłem już takie bardzo brutalne sceny w kinie, tylko że one były umiejscowione w czasie przeszłym, w historii. To była jakaś klamra, prawda? A teraz zrobiłem historię o tym, co się dzieje tu i teraz, za ścianą. I to było dla mnie zaskakująco bolesne, nawet, jeżeli wiedziałem, że to będzie ciężkie kino. Zacząłem od wyboru do głównej roli Agaty Turkot, z którą pracowałem przy drugim „Weselu”, z żydowską literką w tytule. Ona grała wtedy w drugim planie, ale ja wiedziałem, że chcę z nią zrobić kolejny film. I kiedy zastała mnie pandemia, zawieszony byłem pomiędzy „Weselem” z żydowską literką w tytule i „Słowianami”, których jeszcze nie zrobiłem, ale wierzę, że zrobię. W tym zawieszeniu pomyślałem sobie, że trzeba zrobić kameralne kino, którego akcja toczy się w czterech ścianach. Pojawiło się też wtedy dużo artykułów o domowej przemocy, bo ona się w pandemii nasiliła. Zacząłem czytać artykuły i książki na ten temat, spotykałem się z ofiarami prze-

mocy. Doszło w końcu do tak zwanych zdjęć próbnych i nie zapraszałem już innych aktorów niż Agata Turkot. Otczyłem ją jednak kilkunastoma, moim zdaniem, świetnymi aktorami. Nie sprawdzałem, czy oni potrafią grać, przyglądałem się innym kwestiom. Po pierwsze, jak różna byłaby relacja na ekranie, gdyby partner był starszy, młodszy, mniej lub bardziej przystojny. Drugą sprawą było, który z aktorów dawał Agacie największe poczucie bezpieczeństwa. To też było dla mnie nowe w mojej pracy. Później, na planie, ograniczyliśmy ekipę, komunikację radiową, światło. Operatorką kamery była Ola Kamińska, najbliższej aktorów. Ja nie mnożyłem dubli, miałem w nosie, czy coś jest ostre, czy nie. Mam doświadczenie, wiem, że coś mogę wyciąć, zmontować. Próbowaliśmy zapewnić komfort aktorom, co w tym filmie było trudne. Zobaczycie na ekranie.

W jaki sposób reagowaliście na trudne sceny?

Patrzyłem w buty. Ujęcie, stop kamera i patrzyłem w buty. Nie tylko ja, bo cała ekipa też patrzyła w buty. Wszyscy byliśmy emocjonalnie bardzo związani z aktorami, bo tak naprawdę, ich to kosztowało najwięcej.

To jest ciężar, który się zabiera z planu?

No tak, ale za chwilę będę przed panem płakał albo się użalał. Lubie robić to, co robię. Wiedziałem, w co się pakuję. Czytałem na ten temat, spotykałem się z osobami, które zostały dotknięte przemocą, wysłuchałem ich historii. To było coś innego niż czytanie, kiedy patrzyłem w oczy tych ludzi i widziałem ich emocje. I wtedy wiedziałem, że ja muszę zrobić ten film.

To były osoby, które wyszły z przemocy?

Były w trakcie wychodzenia albo już wyszły z przemocy.

Czy tak mocno dotykając realizmu, trochę jak dziennikarza i robiąc takie filmy, wierzy pan jeszcze w człowieka?

Ojej, wierzę w to, że film jednak może coś zmienić, bo inaczej bym nie wyciągał kamery z auta. I czasem nie chodzi o to, że film musi być dobry. Bywa, że temat jest tak istotny, tak pokazany, że ktoś poczuje potrzebę chociażby porozmawiania z samym sobą. Oczekuję od kina poruszenia i emocji. I takie filmy chciałbym robić. Wydaje mi się, że czasem mi się to udaje.

Czy już odbyte projekcje „Domu dobrego” pokazały panu, że widz może się w tym filmie przeżyć?

Nie chcę uogólniać. Ale po projekcjach filmu na



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

Wojciech Smarzowski na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi, podczas odsłaniania gwiazdy artysty w Łódzkiej Alei Gwiazd

festiwalu Gdyni, gdzie wiadomo, wszystko się dzieje w przeciagu i ludzie się mijają, podeszło do mnie w sumie z dziesięć kobiet i opowiedziało swoje historie: kopnął mnie, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, rozstałam się z nim w walce. To znaczy, że ten film u tych osób nie tylko jakoś zarezonował, ale nie mogły być one przeciwko niemu, bo by do mnie nie podchodziły. Dostałem szybką bombę emocjonalną, ale to oznacza, że dobrze, że ten film powstał.

Czy w trakcie realizacji „Domu dobrego” miał pan gotowe sceny, które uznał za zbyt mocne i które nie weszły do filmu? Bo mogły być dla widza zanadto szokujące?
Do pewnego stopnia to się zdarzało, choć może nie chodziło o to, że to były zbyt szokujące sceny. Moja metoda realizacji polega na tym, że ja robię sceny w jednym dublu po to, żeby aktorzy wywalili emocje raz, a nie pięć razy. Wtedy ten jeden dubel jest dłuższy i potem na stole montażowym decydujemy, które fragmenty wchodzą, a które nie, by zachować płynność całości. Tylko ja miałem tę świadomość wcześniej, nie jest tak, że wpadłem na to w montażowni. Taką obrałem zasadę, tak się dogadałem z aktorami, że oni wywalą bebecchy raz, może dwa, ale nie będziemy powtarzać tego kilkanaście razy.

Jak się pracuje z młodą ekipą? Czy na planie panuje większa otwartość na pańskie sugestie, czy to raczej pan czerpie coś od młodych ludzi?
Chyba nie widzę różnicy w pracy z młodszą czy starszą ekipą, pod warunkiem że wszyscy profesjonalnie podchodzą do swoich zadań. Ja generalnie jednak w dużej mierze pracuję z ludźmi, z którymi pracowałem już wcześniej, część z nich miała może trochę inne funkcje. Znamy się więc od jakiegoś czasu, dużo ze sobą rozmawiamy. Nie oznacza to, że mamy się poklepywać po plecach, tylko po prostu sobie ufamy. Jeszcze raz podkreślę, film jest sprawą zbiorową. Jedyną zmianę jaką widzę, to ten nieciekawy fakt, że ja jestem starszy. Od młodych ludzi biorę energię, ich percepcję, postrzeganie świata. To jest dla mnie bardzo ważne, w tym zakresie zachowuję czujność. A czy ja coś im daję? Może jakieś doświadczenie, także własny punkt widzenia, przekonanie, że warto się trzymać własnej drogi. Uczciwie się ze sobą dzielimy.

Spotkał się pan z opiniami, że przemocy w pana filmach jest za dużo, że stawia pan widza pod ścianą, że pewne rzeczy powinny zostać niedopowiedziane?
Tak, ale nie można zrobić filmu dla wszystkich. Ja mam taki, a nie inny temperament filmowy, moją bazą jest realizm. Obejrzałem filmy o prze-

mocy, na przykład „Żonę policjanta”, gdzie tak naprawdę jest tylko jedna scena przemocowa i jest to świetny film. Ale ja uznałem, że to trzeba opowiedzieć na mój sposób. To dobrze, że są w kinie różne historie, różnie opowiadane filmy, widzów też mamy bardzo różnych. Każdy przepuszcza opowiadaną mu historię przez własną wrażliwość i albo w nią wchodzi, albo się odcina.

Wspomniał pan o projekcie „Słowianie”. Ma to być najdroższy film w historii polskiej kinematografii. Na jakim etapie jest ten projekt?
Szukania pieniędzy i konsultowania tekstu z historykami. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie był chrzest Mieszka. Czy w Gnieźnie, czy w Ostrowie Lednickim, czy w Poznaniu. Zadaję historykom bardzo praktyczne pytania. Gdzie stał warsztat tkacki, jak zbudowano most w Ostrowie Lednickim. Moją bazą jest realizm, więc muszę ten świat najbardziej wiarygodnie pokazać. Muszę wiedzieć na przykład co robili z mieczami, kiedy wchodzili do sali, gdzie było bardzo ciasno. Zakładam, że nosili miecz jak dziś krawat. Ale co się działo z tarczami, co z hełmami, gdzie była zbrojownia? Zastanawiamy się nad stanem uzębienia naszych bohaterów. Większość aktorów ma teraz szuflady tureckie, a wtedy już chyba Wikingowie śmiali się, że nie jest u nas za dobrze z zębami.

Czy jest łatwiej ze znajdowaniem funduszy, niż to było na przykład w przypadku „Wołynia”?
To jest pytanie do producentów, nie do mnie, bo ja nie jestem od funduszy. Ja się zajmuję przedstawianiem świata. A producent Wojtek Gostomczyk zajmuje się szukaniem pieniędzy. I to wszystko jest w trakcie.

Powiedział pan, że jako reżyser robi swoje. Czy to oznacza też, że krytyka w ogóle pana nie dotyka?
Po pierwszym filmie, „Weselu”, przeczytałem „Gazetę Wyborczą” i dostaliśmy tam konkretną zjebkę od dziennikarzy, których znałem. I pomyślałem sobie: po co ja mam to czytać? Jeżeli kończę film, to każdy element znam „po imieniu”. Ale jak już oddaję film widzom, to się nie cofam, nie patrzę wstecz. Nie mam mediów społecznościowych i nie czytamy o sobie. Oczywiście, nie uda się nic nie wiedzieć, nie słyszeć, co ludzie mówią, ponieważ się spotykamy, rozmawiamy, każdy coś tam powie. Tylko że ja próbuję sobie to bardzo dozować.

„Słowianie”, wiadomo, duży projekt, pewnie jeszcze sporo czasu upłynie, zanim będzie go można zrobić...
O, tak.

Ale czy nosi pan w kieszeni jeszcze jakieś inne tematy? Myślę o kameralnym filmie o miłości. Akcja dzieje się

w domu starców. I jest to opowieść o eutanazji po polsku.

W jakim zakresie, pana zdaniem, zmieniliśmy się na przestrzeni lat od „Domu złego” do „Domu dobrego”? Mocniej: Jak zmieniła się Polska? Czy nowy film jest też odpowiedzią na tę zmianę?
O Polsce nie chcę mówić tak szeroko, na pewno natomiast ewoluowało samo pojęcie przemocy domowej. W „Domu złym” mamy zagadkę kryminalną w epoce późnego Gierka i wczesnego Jaruzelskiego. Jest tam scena, w której Dziabas uderzył swoją żonę i nikt wtedy, kiedy ten film powstał, nie mówił, że to jest jakaś przemoc. Po prostu facet napił się, był zazdrosny i uderzył. A wiadomo z kontekstu, że nie pierwszy raz ją uderzył. W jakichkolwiek opiniach na temat tamtego filmu problem przemocy domowej w tym kontekście w ogóle nie był poruszany. Natomiast teraz już jest tak, że byśmy o tym mówili. To się mocno zmieniło. Jak mnie, na przykład, nauczycielka w podstawówce łała linijką czy wyzywała od debili, to jej chodziło o to, żebym ja się lepiej uczył, to były środki wychowawcze. Wiedziałem też, gdzie pasek był w domu. Ale kto by wtedy odważył się nazywać to przemocą...

A czy dla takiego twórcy, jak pan, istnieje jakieś tabu? Jest temat, którego by pan nie dotknął?

Nie wiem, co szczerze na to odpowiedzieć. Moja rzeczywistość wygląda tak, że mam w szufladzie parę projektów, dotyczących różnych trudnych tematów. Ale powstawanie filmu zajmuje dużo czasu, dlatego, że ja piszę scenariusz i z nim znajdują się pieniądze, zanim nakręcimy zdjęcia i dojdzie do postprodukcji, to mijają trzy-cztery lata. Powiedziałem już o dwóch projektach - kameralnym i wielkiej produkcji. Ale nie wiem, jakim człowiekiem będę za rok, dwa, trzy, jaki temat mnie wtedy zainteresuje, co zainspiruje do napisania kolejnego tekstu, co będzie się działo w Polsce i na świecie.

Może będziemy znowu kręcić filmy powojenne...
Oby nie.

Myślał pan chociaż raz o tym, żeby tak przewrotnie zrobić w kinie coś lekkiego?
Zawsze od tego wychodzę. Zawsze próbuję zrobić miły film o miłości, kameralny, a potem kamera pędzi nad miastem, są setki statystów, no i ktoś wyłączy światło.

Pisze pan swoje filmy mocnym charakterem pisma, sam tworzy scenariusze, wyjątkiem była „Róża”, zrealizowana według scenariusza Michała Szczębica. Czy dziś mógłby pan podjąć cudzy pomysł, pracować nad scenariuszem nie własnego autorstwa?
Myślę o tym, dlatego że pisanie zajmuje mi dużo czasu, zwłaszcza jeżeli dotykam tematu, o którym mało wiem i muszę zrobić dokumentację. Jedyńm filmem, który mnie nic nie kosztował pod względem scenariusza, była „Drogówka”. Jeździłem autem, robiłem program o policji, napisałem to bardzo szybko. Ale jeżeli wchodzę w jakąś historyczną sytuację, to opracowanie wszystkich składników jest czasochłonne. Wracając do pytania, nie wiem, ile przede mną lipców jeszcze, ale myślę, że mógłbym skrócić ten proces biorąc gotowy tekst, w którym bym pewnie coś jeszcze poprzestawiał lub podokładał. I nawet chyba zacząłem już o tym rozmawiać z różnymi ludźmi.

I teraz ma pan swoją gwiazdę na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi? Jakie z tym wiążą się emocje?
To super, że stało się to w Łodzi, to jest oczywiście miłe. Aczkolwiek to taki etap, że za chwilę pojawiają się napisy: w życiu na Ziemi udział wzięli... Jest w tym wymiar podsumowywania. Przyjechałem na uroczystość do Łodzi, której nie poznaję, otrzymałem wiele fantastycznych bodźców. To jest naprawdę fajny moment w życiu. Najzwyczajniej w świecie się cieszę.

Laznaczył przy tym, że mimo zaawansowanego wieku, aktorka do końca tryskała niegasnącą energią i zaangażowaniem. - Nawet mając 96 lat nie utraciła pasji do swojej pracy i kontaktu z publicznością. - Będzie jej niezmiernie brakowało. Zarówno najbliższemu, jak i jej wiernym fanom na całym świecie - napisano w komunikacie.

To była jej rola życia

Patricia Routledge zadebiutowała na Broadwayu w 1966 roku. I mimo że miała na koncie dość sporo teatralnych oraz telewizyjnych ról, to największą sławę zyskała dzięki serialowi „Co ludzie powiedzą?”. Był to cykl, który jak żadna inna brytyjska produkcja ukazuje w krzywym zwierciadle mieszczański sposób życia angielskiej klasy średniej, obnażając w wyjątkowy sposób przywary i obśmieszając pompatyczność jej przedstawicieli. A wszystko to podane w otoczce inteligentnego humoru, który, mimo że kręci się głównie wokół brytyjskiego klimatu i zachowań, spodobał się na całym świecie. Nic zatem dziwnego, że serial „Co ludzie powiedzą?” pokochali także polscy widzowie.

- Rezydencja państwa Bukietów, przy telefonie pani domu - to wymawiane często zdanie przez bohaterkę serialu, niejaką Hiacyntę Bukiet (w oryginale: Bucket, ale o tym później) mówi o niej wszystko. Mimo, że potrafi podnosić słuchawkę z wytworną galanterią, którą zresztą prezentuje przy każdej możliwej okazji, to w rzeczywistości jest zwykłą snobką oraz pochodzącą z niższej klasy szarą obywatelką, zaś jej głównym celem jest imponowanie innym swoim wyrafinowaniem i udawanym bogactwem, kontaktami, znajomościami itp. Bezbronnymi „ofiarami” jej nadmuchanej osobowości stają się członkowie najbliższej rodziny, wliczając w to trzy siostry oraz męża Ryszarda, któremu nie pomaga fakt, że jest totalnym pantoflarzem, bez szmierzania spełniającym coraz to bardziej wymyślne - żeby nie powiedzieć: szalone pomysły swojej żony.

- Ryszardzie, uważaj na cię żarówkę / Przecież stoi na parkingu! / Wtedy jest najbardziej niebezpieczna - ten dialog Hiacynty i Ryszarda dowodzi, że despotyczna małżonka, która nie ma pojęcia o prowadzeniu samochodu, uważa, że jest dokładnie na odwrót i uznaje za stosowne, by przekazać mężowi „cenne” wskazówki. Sytuacja z autem ma swoje odzwierciedlenie w każdej dziedzinie życia pani Bucket. To ona „najlepiej” gotuje, to ona ma „najlepszy” serwis do herbaty, to ona „najlepiej” przygotowuje parafialny piknik, to ona śpiewa „najlepiej”, to w niej wreszcie „kochają się” (tak na-



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Patricia Routledge, posiadająca niesamowity talent komediowy, w serialu „Co ludzie powiedzą?” wspięła się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich

PATRICIA ROUTLEDGE DZIELIŁA ŻYCIE NA PRZED HIACYNTĄ I PO NIEJ

- Z głębokim smutkiem potwierdzamy śmierć Patricii Routledge, która odeszła we śnie, otoczona miłością – przekazał tydzień temu w swoim oświadczeniu agent niezapomnianej pani Bukiet

Wojciech Obremski

prawdę szczerze jej nienawidzący) sąsiad Emmet. Zaś jego siostra Elżbieta w rzeczywistości panicznie boi się swojej sąsiadki, przeżywając prawdziwe katusze podczas proszonych herbatek u Hiacynty; nerwy Elżbiety są już zszargane do tego stopnia, że nie potrafi utrzymać filiżanki bez rozlewania napoju.

Wieloklasowa rodzinka

Wszyscy w okolicy, począwszy na sąsiadach, poprzez mleczarza i listonosza, na wikarym i jego małżonkę kończąc, starają się unikać domostwa Hiacynty jak ognia. Nie zawsze im się to udaje, gdyż pani Bucket nie przepuści żadnej okazji, by opowiedzieć o kolejnym sukcesie jej syna Sheridana, zamoż-

nej willi jej siostry, z sauną i stajnią dla kucyka czy walecznych czynach jej tatusia, których ten miał dokonywać podczas wojny. Hiacynta nawet nie przyjmuje do wiadomości, że syn zmienił zarówno kierunek studiów (na hafciarstwo), jak i orientację płciową, bogata siostra Violetta „od kucyka” trwa w toksycznym związku z męż-

czyną, który ma dość dziwne skłonności seksualne, zaś ojciec to podstarzały człowiek, zmagający się z demencją, która w dość znaczący sposób wpływa na jego libido. Jeśli czymś Hiacynta nie chce się pochwalić przed otoczeniem, to są to dwie pozostałe siostry (Róża i Stokrotka) oraz mąż tej drugiej Powolniak, mieszkający w warunkach urągających nawet najniższej z klas i posiadający dość, nazwijmy to, luźny stosunek do życia, co za nic nie może być kojarzone z „idealnie skrojonym”, choć wyimaginowanym statusem Hiacynty. Dla bohaterki jest rzeczą niedopuszczalną, że rozwiązała Róża zmienia partnerów jak rękawiczki (jednym z nich był Polak, z „trudnym do wymówienia nazwiskiem, kończącym się na -ski”), zaś Stokrotka może wytrzymać ze swoim mężem, obleśnym obdartusem, popijającym całe dnie piwo przed telewizorem, który uruchomi się wyłącznie po uderzeniu w odbiornik (wprawne oko zauważy, że Powolniak nie jest do końca tym, za którego uważa go Hiacynta, a i pośrednio widzowie - podczas scen w sypialni można dostrzec, że czyta on książki poświęcone fizyce lub notowaniom giełdowym).

Wyżyny aktorstwa pani Routledge

Popularność serialu, którego premiera odbyła się w 1990 roku, tłumaczył jego scenarzysta Roy Clarke. - Wszyscy znają kogoś takiego jak Hiacynta. Może być członkiem naszej rodziny lub mieszkać na końcu ulicy - zauważał. Pierwszy sezon serialu sprzedano 992 stacjom, a ogólnie powstało pięć serii, składających się z czterdziestu odcinków, nie licząc pięciu specjalnych. W 2004 roku serial zajął drugie miejsce w światowym rankingu ulubionych komedii BBC, zaś odtwarzająca główną rolę Patricia Routledge została odznaczona przez królową Elżbietę II Orderem Imperium Brytyjskiego, dwukrotnie nominowano ją też do nagrody BAFTA.

I chyba większość, oglądając Hiacyntę w akcji przyzna, że słusznie, bo wcielając się w nią Patricia Routledge, posiadająca niesamowity talent komediowy, wspięła się na wyżyny swoich umiejętności aktorskich. Scenariusz również był sprawnie napisany, toteż nic dziwnego, że od razu przypadł jej do gustu. - Zaczęłam czytać po pierwszej w nocy i skończyło się na tym, że czytałam do czwartej nad ranem, rechocząc przy tym nieustannie - mówiła w programie „The one show”. Jednak aktorka często podkreślała, że oprócz dwóch rąk, dwóch nóg, dwojga oczu, nosa i ust, nic więcej nie łączy jej ze swoją bohaterką. - Moje życie to etap przed Hiacyntą i po niej. Jeśli ludzie będą mnie

pamiętać tylko jako Hiacyntę, to nic na to nie poradzę. Ale jeśli dzięki temu ludzie chodzą do teatru by mnie oglądać, to mogę być szczęśliwa. Nie chciałbym być Hiacyntą na zawsze. Ale to nie znaczy, że nie jestem wdzięczna za tę postać - twierdziła P. Routledge w jednym z wywiadów. Serial przerwano w 1995 roku, właśnie ze względu na rezygnację aktorki z głównej roli (jeden z odcinków specjalnych - „Wspomnienia Hiacynty”, będący kompilacją najzabawniejszych scen serialu przypomnianych przez Powolniaka i Stokrotkę, nakręcono dwa lata po zakończeniu cyklu, bez udziału P. Routledge, nie licząc scen retrospektywnych). Choć sama aktorka nigdy nie podała powodu odejścia, zmarły w 2019 roku Clive Swift, wcielający się w jej męża Ryszarda, przyznał w rozmowie z BBC, że jego filmowa partnerka nie chciała do końca życia być panią Bucket. I chyba coś było na rzeczy, gdyż aktorka poświęciła się potem innym projektom, na czele z serialem kryminalnym „Śledztwa Hetty Wainthropp”, w którym grała panią detektyw. Routledge wcieliła się również w telewizyjne role prawdziwych postaci, w tym pisarki Barbary Pym oraz św. Hildegardy z Bingen.

„Nazywam się Bouquet, nie Bucket!”

Wróćmy jednak do nazwiska głównej bohaterki „Co ludzie powiedzą?”. W wersji oryginalnej „Bucket” oznacza wiadro. Dlatego właśnie Hiacynta wciąż (bezsukcesnie) upiera się, by wymawiać jej nazwisko w sposób bardziej wysublimowany: „Bouquet”, co z francuskiego oznacza „bukiet”, dzięki czemu można by nazywać ją Hyacinth Bouquet, czyli „Bukietem hiacyntów”. W niektórych polskich tłumaczeniach postacię przeinaczały nazwisko bohaterki na: „Żakiet”. Serialowa Hiacynta nie potrafi śpiewać, a gdy próbuje, okropnie fałszuje. W rzeczywistości P. Routledge uczyła się w młodości śpiewu, zaś w 1968 roku otrzymała nawet nagrodę Tony za musicalowe role.

Aktorka odeszła zapewne z poczuciem satysfakcji, że dzięki niej „Co ludzie powiedzą?” to, jak zauważa portal Naeckranie.pl, „z jednej strony wyśmienita zabawa, z drugiej celna satyra społeczna. Jak się okazuje, komentarz wciąż jest aktualny i nie dotyczy jedynie brytyjskich przedstawicieli klasy średniej i wyższej. Doskonała odtrutka na snobizm, nadąsanie i podwójną moralność tych, którzy dzięki swojej pozycji społecznej dowartościowali się kosztem innych.”

Serialowa Hiacynta była tylko jedna, choć każdy z nas zna podobne. Nadzwyczaj trafnie uświadomiła nam to nie-zrównana Patricia Routledge.

pod PARAGRAFEM

KRÓTKO

W KINACH

„Lot nad kukułczym gniazdem”

Z okazji 50-lecia premiery w środę 22 października do polskich kin wróci „Lot nad kukułczym gniazdem” Miloša Formana, na podstawie powieści Kena Keseya. Bohater filmu, McMurphy (Jack Nicholson), złodziejsek, szuler i chuli-gan, chcąc uniknąć więzienia udaje psychicznie chorego, idąc do zakładu psychiatrycznego zamiast do celi. Jednak powoli przekonuje się, że szpital wcale nie jest bezpiecznym azylem, gdzie można przyjemnie spędzić czas.

Is

W KSIĘGARNIACH

Krajewski zaprasza na Dolny Śląsk

Pod koniec października Znak wypuści „Głos z piekła”, nową powieść Marka Krajewskiego. Mamy rok 1925. Pałac Czerniewice, Dolny Śląsk. Na von Babbitza spadają kolejne nieszczęścia. Pożar folwarku, tajemnicze zniknięcie żony, popadająca w szaleństwo córka Anna. Kiedy pałacowy lekarz zostaje zamordowany z wyjątkowym okrucieństwem, do Czerniewic trafia student psychiatrii Herbert Anwaldt. Przypadek dziewczyny ma pomóc mu w studiach nad opętaniem.

bb

ROCZNICA

Pamiętajcie o Mario Puzo

15 października mija rocznica urodzin Maria Gianluigiego Puzo (1920-1999), amerykańsko-włoskiego pisarza, dziennikarza i scenarzysty. Jest znany przede wszystkim ze swoich książek opisujących sy-cylijską mafię. Najsłynniejsza z nich, „Ojciec chrzestny”, opublikowana w 1969 r., stała się tematem scenariusza filmu pod tym samym tytułem, nakręconego trzy lata później przez Francisca Forda Coppolę, z Marlonem Brando i Alem Pacino w rolach głównych.

„Pod Paragrafem”, magazyn kryminalno-historyczny, nr 177. Przygotowuje zespół: Bożenna Piskala, Lucjan Strzyga, Stanisław Majerowski, Bożydar Brakoniecki, Tadeusz Żarek, Mariusz Grabowski. Kontakt: redakcja@polskatimes.pl

W ŚRODKU

Pogrzeb gen. Rozwadowskiego w 1928 r. był rodzajem politycznej demonstracji przeciw rządzącej sanacji – str. 24

Czy czaszka Szekspira została skradziona? Lektura przedwojennych gazet nie pozostawia złudzeń – str. 25

ZA TYDZIEŃ

Napad Piłsudskiego na carski pociąg pocztowy Skok na carski pociąg pod Bezdanami był niezwykle i zuchwały. Pikanterii dodawał mu fakt, że kilku z rabusiów rządziło potem Polską.



Kim był człowiek, który przed laty mordował łódzkich gejów?



Łódź Fabryczna, przełom lat 70. i 80. W schyłkowym PRL-u w większych miastach homoseksualiści spotykali się na tzw. pikietach. Były to miejsca, w których nawiązywali oni nowe kontakty towarzyskie. W Łodzi pikiety znajdowały się m.in. na dworcu

Natalia Lisowska
redakcja@polskatimes.pl

Siedem ofiar przez pięć lat. Zamordowanych mężczyzn łączyło to, że byli gejami. Zginęli od ciosów nożem, uduszeni, zakatowani w swoich mieszkaniach.

Łódź. Miasto, które przeciętnemu Polakowi kojarzy się z „Ziemią obiecaną” – i to raczej filmem Andrzeja Wajdy niż powieścią Władysława Reymonta – i szwaczkami. A więc z biedą, wyzyskiem, czynszówkami, ale też słynną Filmówką czy pałacami przy

Piotrkowskiej, będącej swego czasu symbolem nieokiełzanego bogactwa i fortun upadających w mgnieniu oka. I to właśnie Łódź stała się sceną zbrodni dla seryjnego zabójcy – człowieka, którego nie schwytano do dzisiaj, którego bezskutecznie usiłowali odszukać najlepsi śledczy działający w Archiwum X, komórce powołanej do wyjaśnienia najtrudniejszych spraw kryminalnych, które wciąż czekają na rozwiązanie.

Na pikiecie na dworcu

Ofiar było siedem. Sami mężczyźni. Wszyscy szukający ła-

towych i szybkich znajomości na tzw. pikiecie na Dworcu Fabrycznym, miejscu, gdzie łódzcy (i przyjezdni) homoseksualiści zawsze mogli liczyć na udane łowy.

Stefan W. miał 37 lat, kiedy zginął, zamordowany 9 czerwca 1988 r. Ciało znaleziono osiem dni później w mieszkaniu przy ul. Grabowej. Ubranie, przygniecione przewróconą meblówką. Stefan W. przed śmiercią został skrępowany przewodem elektrycznym. Zginął od ciosów nożem, który sprawca zostawił na miejscu zbrodni.

Drugi był 40-letni Jacek C., geograf i przewodnik Polskiego

Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. On zginął rok później, 30 lipca. Ciało odkryto 4 sierpnia 1989 r. w mieszkaniu C. przy ul. Ernsta Thalmanna, której dzisiaj patronuje Stefan kard. Wyszyński. Zabójca znów związał swoją ofiarę – tym razem sznurkiem do snopowiązałki i paskiem od spodni. Jacek C. udusił się – morderca wpełznął mu do gardła ścierką, by nie słyszeć było krzyków.

Już po wszystkich kluczach do mieszkania zostawił na parapiecie... I to tymi kluczami sąsiedzi otworzyli drzwi do mieszkania, z którego wydobywał się trudny do zniesienia fetor – było

upalne lato, a ciało znalezione już w stanie postępującego rozkładu.

Stał na przystanku

Do kolejnego zabójstwa doszło pół roku później – Bogdan J., 50-letni aktor i pracownik łódzkiej Estrady, znany był przede wszystkim jako niezły konferansjer. Ustalono, że został zadźgany nożem najprawdopodobniej podczas stosunku seksualnego. J. zginął 21 listopada, ale ciało znaleziono dwa dni później. Oczywiście w mieszkaniu ofiary.

Ciąg dalszy na str. 24

Mariusz
Grabowski

POGRZEB GEN. ROZWADOWSKIEGO

Późnym latem i jesienią 1928 r. stan zdrowia gen. Tadeusza Samuela Szymona Jordana Rozwadowskiego był opłakany. Zmarł 18 października 1928 r. o godz. 13.40 w lecznicy św. Józefa przy ul. Hożej w Warszawie. Miał 62 lata.

Po Warszawie krążyły liczne domysły i podejrzenia co do przyczyn śmierci. Mówiono, że podczas swego uwięzienia na Antokolu w Wilnie został przez siepaczy Piłsudskiego zatruty arsenikiem, albo nakarmiony kanapkami z pociętym końskim włosiem. Te doprowadziły do owrzodzenia jelit i śmierci.

Demonstracja

Msza żałobna w Warszawie odbyła się 20 października o godz. 11.30, a następnie trumnę z generałem przeniesiono na Dworzec Główny, skąd przetransportowano ją do Lwowa, gdzie Rozwadowski chciał spocząć. Uroczystości rozpoczęły się w poniedziałek 22 października o godz. 10. Kolejna plotka głosiła, że sanatorzy celowo narzucili tak wczesną porę, aby przyszło jak najmniej ludzi.

Mimo to generała żegnały tłumy. Egzekwie sprawował w kościele oo. Bernardynów ks. abp metropolita Bolesław Twardowski. Gdy kondukt żałobny dotarł do cmentarza Obrońców Lwowa, trumnę demonstracyjnie wzięli na barki usunięci z armii generałowie: Stanisław Haller, Roman Żaba, Walery Maryjański, Franciszek Meraviglia-Crivelli, Robert Lamezan-Salins i Filip Siarkiewicz.

Nad grobem mowę wygłosił były legionista ks. Józef Panaś: „Był to prawdziwie chrześcijański, wielki Wódz, który umiał zwyciężać bez podniesienia się w pychę i bez pastwienia się nad pokonanym przeciwnikiem” - mówił.

Pusty grób

Jak wspominali świadkowie, nad ogromnym tłumem żałobników krążyły samoloty. W ten sposób wierni Rozwadowskiemu piloci mieli oddać hołd jego pamięci. Za ten symboliczny akt dowódca lwowskiego lotnictwa został pozbawiony stanowiska, ale brak w tej sprawie historycznego potwierdzenia.

Gdy w latach 70. komunistyczne władze Lwowa prowadziły na Cmentarzu Orłąt planową dewastację, szczątki generała prawdopodobnie potajemnie wydobyto i przeniesiono do któregoś z prywatnych grobowców na nieodległym cmentarzu Łyczakowskim. Ekshumację przeprowadziło wąskie grono osób, z którego dzisiaj nie żyje nikt.

Zatem grób gen. Tadeusza Rozwadowskiego na cmentarzu Obrońców Lwowa jest pusty. W 2013 r. potwierdziła to oficjalnie Rada Ochrony Walk i Męczeństwa.



Pogrzeb gen. Rozwadowskiego w Warszawie. Wyniesienie trumny z kościoła św. Barbary na Koszykach



ŚLEDZCY MIELI W SUBKULTURZE HOMOSEKSUALISTÓW UTRUDNIONE ZADANIE

Kim był człowiek, który przed laty mordował łódzkich gejów?

Ciąg dalszy ze str. 23

Kiedy okazało się, że zabity mężczyzna też był homoseksualistą, śledczy znów pojechali na pikietę. Może tym razem ktoś się przełamie? Może tym razem ktoś będzie coś pamiętał?

Przez moment wydawało się, że jest szansa - jeden ze starych bywalców pikiety zapamiętał, że w dniu, w którym zginął J., widział go wcześniej z młodym chłopakiem. Blondynem o urodzie cherubina. Chłopak stał na przystanku autobusowym. J. zagaił rozmowę, a kiedy podjechał nocny autobus, wsiadli do niego razem. I odjechali najpewniej do mieszkania aktora, w którym kilka godzin później zginął.

Ten trop jednak też nie przyniósł przełomu w śledztwie - przesłuchano 71 osób, w większości homoseksualistów odwiedzających regular-

nie pikietę na Fabrycznym. I nie odnaleziono choćby najmniejszego śladu młodego blondyna o urodzie barokowego putta.

Gołymi rękami

Czwarty był 41-letni Andrzej S. Zginął od ciosów nożem 25 lutego 1990 r. Znowu ciało odkryto kilka dni po zabójstwie - 5 marca. I znowu okazało się, że ofiara była starym bywalcem łódzkiej pikiety, ba, kiedy w mieszkaniu znaleziono notes Andrzeja S., pełen nazwisk różnych mężczyzn, ich adresów i numerów telefonów, wydawało się, że może tu pojawi się choćby cień, który będzie można pochwycić.

269 przesłuchanych osób w niczym nie pchnęło do przodu śledztwa w sprawie seryjnego zabójcy mordującego w Łodzi homoseksualistów - bo nikt już nie miał wątpliwości, że nie są to przypadkowe, niepowiązane ze sobą zbrod-

nie. A policjanci wciąż zderzali się ze ścianą niedopowiedzeń, milczenia, niechęcią do ujawniania jakichkolwiek intymnych informacji.

Morderca z kolejnym atakiem czekał do lipca - ostatniego dnia tego miesiąca uduślił gołymi rękami Jakuba M. On też miał 41 lat, a jego ciało odnalazł przypadkowy spacerowicz w lesie na terenie Główna. Świadkiem, pośrednim, tej zbrodni była matka ofiary - Jakub M., rolnik, po rozwodzie przeprowadził się do rodziców. Tragicznego 30 lipca matka słyszała jakieś hałasy zza ściany, ale syn często zapraszał gości, więc nie zajrzała, czy wszystko jest w porządku, czy nic się nie dzieje.

„Tak, widziałem go”

Ustalono, że Jakub M. odwiózł swojego tajemniczego gościa po wspólnej nocy na dworzec. Do domu już nie wrócił - nagie ciało leżało

pod ściółką, a niedaleko stał porzucony samochód. Niemała świadomości tego, co się stało, matka ofiary rano weszła do pokoju syna i dokładnie go posprzątała, nie wiedząc, że być może usuwa wszelkie ślady mogące naprowadzić policję na trop mordercy jej dziecka.

Po śmierci piątej ofiary seryjny zabójca polujący na łódzkich homoseksualistów przyczaił się. Uderzył dopiero 20 lutego 1992 r. Jego ofiara, 48-letni Jan D., została załuczona na śmierć w swoim własnym domu. Ciało sprawca przykrył kołdrą i poduszkami, które usiłował nieudolnie podpalić. I znowu pojawia się trop - dzień przed śmiercią Jana D. sąsiadka widziała młodego mężczyznę wychodzącego od niego z domu.

Opis przypomina cherubinka, z którym odjechał z pikiety Bogdan J. - przystojny, z jasnymi, falowanymi wło-

zabójcy

obę) lub 35-14-54, 35-14-31 (od
odz. 8 do 16).

**Rysopis poszukiwanego sprawcy
zabójstwa:** wiek ok. 27 lat, wzrost
76 - 178 cm, średniej budowy ciała.
Wzrost owalna, nos średni, oczy piwne,
usta pełne, uszy przylegające. Włosy
ciemnoblond, czesane na bok.

Mężczyzna ma z lewej strony lewego
boka wytatuowaną kropkę koloru niebie-
skiego, noszącą ślady usuwania. Rów-
nież na krtani - wyraźna niebieska krop-
ka. Na palcach lewej dłoni - fragmenty
tatuazu w kształcie trudnych do odczy-
tania liter.

Sprawę od początku śle-
dziły media. „Dziennik
Łódzki” z 16 lipca 1993 r.
podawał przypuszczalny
opis mordercy

sami. Ale nadzieja, że uda się ustalić coś więcej, szybko rozmywa się w kolejnych nie wnioskujących przesłuchaniach. Ostatni raz morderca zaatakował w 1993 r. - 11 lipca z jego rąk zginął 62-letni Kazimierz K. Ciało odkryto dzień później w mieszkaniu przy ul. Konstytucyjnej. Ofiara, zanim została uduszona, była katowana przez sprawcę.

Kim on był?

Siedem ofiar w ciągu pięciu lat - do dzisiejszego dnia to największa niewyjaśniona seria zbrodni w historii polskiej kryminalistyki. Kim był sprawca? Myśliwym polującym na łatwe ofiary? Człowiekiem mordującym z nienawiści do homoseksualistów? Zabijał wybranych przez siebie mężczyzn w ich mieszkaniach, a więc wchodził do nich jako gość, bez choćby cienia niepokoju. Zabijał w trakcie stosunku seksualnego lub tuż po nim, wykorzystując oszołomienie ofiary - ale może impulsem do zbrodni było prawdziwe lub wyimaginowane poczucie wykorzystania?

Zabójca mordował gołymi rękoma albo tym, co miał pod ręką. Nożem, ścierką, kablem. Nawet jeśli działał impulsywnie, to już po zbrodni okazywał się zadziwiająco opanowany - okradał mieszkania, wynosząc z nich telewizory, magnetowidy, biżuterię, gotówkę oraz inne cenne przedmioty. Kiedy umierała Polska Rzeczpospolita Ludowa i rodził się kapitalizm, sprzęt techniczny był drogi i skusiłby zwykłego złodzieja,

pewnego, że łup da się spieniężyć.

We własnym kręgu

„Pozostałości po alkoholowych libacjach znajdowaliśmy po każdym morderstwie. Może zabójca robił się agresywny, gdy wypił za dużo? A może nienawidził homoseksualistów?” - zastanawiał się w „Gazecie Wyborczej” Krzysztof Mecwaldowski, który pracował przed laty jako naczelnik wydziału kryminalnego w łódzkiej komendzie. „To kolosalna praca wykonana przez milicję, a potem policję. I zero efektów” - dodawał Andrzej Szczepański, były naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego.

W tej sprawie od początku wiadomo było jednak, że więcej będzie tajemnicy niż możliwości ich rozwikłania, bo wiedza o istnieniu pikiety była zdecydowanie niewystarczająca. Środowiska homoseksualistów, nie tylko w Łodzi, były hermetyczne i trudno się temu dziwić. Nawet jeśli nie znano szczegółów operacji „Hiacynt” prowadzonej przez peerelowską bezpiekę, która inwigilowała polskich gejów i de facto prowadziła ich rejestr, wiadomo było, że trudno o akceptację społeczną dla osób o tej orientacji seksualnej i domyślano się, że łatwo tu też o szantaż, tak chętnie stosowany przez SB jako narzędzie werbunku tajnych współpracowników.

Miał na imię Roman

Po śmierci pierwszej ofiary - Stefana W. - przesłuchano 136

osób. Bez żadnego efektu. Nikt nie widział, nie słyszał, nie pamiętał. A nawet jeśli coś słyszał, to nie zamierzał się swoją wiedzą dzielić z mundurowymi - pobicia czy napady osób homoseksualnych nie były wcale rzadkością, ale regułą było, że ofiary nie zgłaszały się na milicję, by nie narażać się na kolejne szykany czy choćby kpiny.

Śledczy, którzy odnajdywali kolejne ofiary seryjnego zabójcy, założyli, że sprawca albo nienawidzi homoseksualistów, albo mści się za doznaną ze strony jednego z nich krzywdę. To mógł być jakiś trop.

Krótko po ostatnim morderstwie, popełnionym w lipcu 1993 r., policja dotarła do świadka, który dawał szansę na przełom w sprawie - homoseksualista, który odbył stosunek seksualny z młodym

Nie udało się

Policjanci ustalili też, że Roman, czy jakkolwiek miał on na imię, najprawdopodobniej pracuje w Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Eskimo”, mieszka z matką w rejonie ul. Rzgowskiej, ma 27 lat, 178 cm wzrostu, oczy piwne, włosy ciemnoblond, które czesze na bok. Miał mieć też wytatuowaną kropkę przy lewym oku, oznaczającą, że znał grypsę, język, jakim porozumiewa się subkultura więzienna, kropkę na krtani - co było sygnałem dla wtajemniczonych, że lubi pić.

Miał mieć też wytatuowane litery na palcach lewej dłoni. Ale mimo takiego opisu, mimo adresu, miejsca pracy, portretu pamięciowego umieszczonego w prasie, mimo sprawdzania kartotek w poprawczakach

Z MIESZKAŃ ZAMORDOWANYCH MĘŻCZYZN SPRAWCA KRADEŁ M.IN.: TELEWIZORY, MAGNETOWIDY, BIŻUTERIĘ, GOTÓWKĘ ORAZ INNE WARTOŚCIOWE PRZEDMIOTY

mężczyzną o imieniu Roman, zeznał, że spotkał się z przypadkowym kochankiem następnego dnia i razem poszli do mieszkania Kazimierza K., skąd wyruszyli z kolejną wizytą - na imieniny do znajomej przyszłej ofiary. Tam w gronie kilku osób bawiono się, ale nie śmiały Roman wyraźnie odstawiał od rozbawionego towarzystwa. Ostatecznie po paru godzinach Kazimierz K. wyszedł z chłopakiem, którego zabrał na imieniny do swoich znajomych, i zabrał go na noc do siebie do mieszkania. Następnego dnia już nie żył. Został pobity, a zginął wskutek uduszenia.

Czułe pożegnanie

Tym razem świadków było kilku. Ten, który pierwszy poznał Romana, zeznał, że chłopak opowiedział mu, że miał 15 lat, kiedy zgwałcił go wychowawca z poprawczaka. Czy tak było rzeczywiście? I dlaczego świadek, który opowiedział śledczym o młodym, biednie ubranym chłopaku, z którym uprawiał seks i którego zaprowadził do Kazimierza K., nie zginął, tylko przeżył?

Głowiący się nad tą sprawą policjanci uznali, że jedyne logiczne wytłumaczenie jest takie, że nie zaproponował swojemu przygodnemu partnerowi pozostania na noc w jego mieszkaniu, ale grzecznie odprowadził go na przystanek i umówił się na następny dzień. Kierowca nocnego autobusu zapamiętał dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, żegnających się nader czule.

i więzieniach, domniemanego zabójcy o imieniu Roman odnaleźć się nie udało.

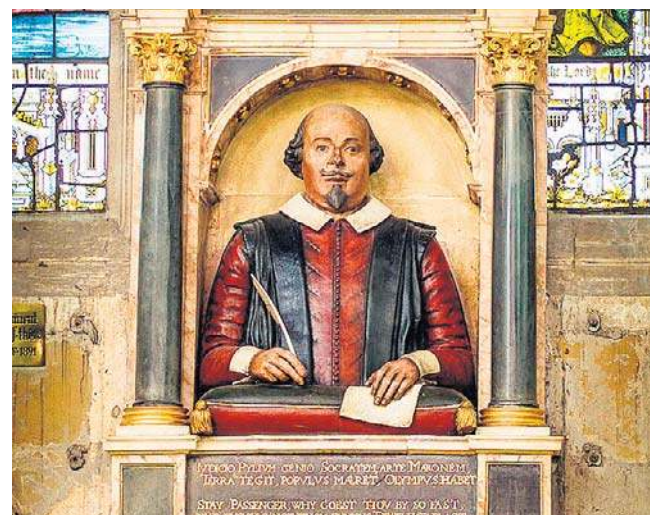
Mężczyzna, który go przeprowadził do Kazimierza K., zobaczył go przypadkiem rok później w Łodzi - Roman siedział w jakimś aucie. Świadek był jednak tak zdenerwowany, że nie zdążył zapisać numerów rejestracyjnych. A może nie chciał? Kilka lat później zmarł na AIDS i policjanci nie wykłuczili, że Roman, prawdopodobny zabójca siedmiu łódzkich homoseksualistów, również został ofiarą tej choroby. Przecież uprawiał seks ze świadkiem, który go tak szczegółowo opisał.

„Nie działał sam”

„Ktoś za nim stał. Roman musiał z kimś współpracować. Proszę zobaczyć: o ile był w stanie samodzielnie zamordować, o tyle z pewnością nie dałby rady samemu wynieść z mieszkań swoich ofiar tego całego sprzętu, który kradł. Bo przecież kradł, przynajmniej w kilku przypadkach. Ktoś musiał mu pomagać. Wiem jedno: on zawsze zapadał się pod ziemię, zniknął. Jak kamfora” - mówi anonimowo Solista, jeden z bohaterów książki Arkadiusza Lorenca „Morderca z pikiety”.

W 2023 r. przedawniła się ostatnia ze spraw. Śledztwo w sprawie zabójstwa Kazimierza K., ostatniej ofiary Romana, pozwoliło policjantom zdobyć najwięcej informacji na temat sprawcy. Wciąż jednak niedostatecznie dużo, by potrafili rozwiązać tę zagadkę. Czy to się kiedyś stanie?

KARTKA Z KALENDARZA/ PITAWAL LITERACKI



Nagrobek Szekspira w Holy Trinity Church w Stratford-upon-Avon, w hrabstwie Warwickshire

Czaszka Szekspira, czyli o uroku przedwojennych gazet

U progu lata 1934 r., gdy zaczynał się właśnie sezon ogórkowy, świat zajmował się dziennikarskimi rewelacjami E.T. Woodhalla dotyczącymi szczątków Williama Szekspira. W Polsce specjalny tekst poświęciło mu wileńskie „Słowo” nr 151 z 6 czerwca 1934 r.

„Słowo” wiernie przytaczało świadectwo Woodhalla: „Zdumiewający napis przykuł mój wzrok, gdy przeglądałem onegdaj po żółtkle stroniczki niewielkiej książeczki z początku 19 wieku. Brzmiał on: »Jak ukradziono czaszkę Shakespeare’a?«. Zdumiony udałem się do biblioteki British Museum, by przeprowadzić badania, ile prawdy zawiera pamiętnik lekarza imieniem Frank Chambers. Chambers osiadł pod koniec 18 stulecia w Alcester, małej wiosce, położonej o siedem mil od Stratford-on-Avon, jako lekarz. W 1794 r. Chambers pisał: „Po kolacji kapitan Fortescue zastanawiał się, czy portret Shakespeare’a w starym kościele miejskim przedstawia poetę tak, jak za życia wyglądał. »Najlepiej będzie, gdy go wykopiesz, Johnie Fortescue« - powiedział dr Parr. Na to nadmienił młody praktykant rolniczy Moore, że stary Horacy Walpole obiecał Jerzemu Selwynowi 300 gwinei, o ile dostarczy mu czaszkę Shakespeare’a”.

Zimową nocą 1794 r.

„Horacy Walpole - kontynuuje Woodhall - który później został lordem Oxfordu, znany był jako człowiek bardzo rozumny, ale ekscentryczny. Był to czas rozkwitu typów nie cofających się przed niczem, które tak przejmująco opisuje Dickens. Grasowali wówczas rabusie zwłok, najgorszego gatunku, którzy, gdy tych zwłok zabrakło, gotowi byli mordować.

Chambers wybrał trzech miejscowych: Harrego Culla, Toma Dyera i Hawtwina. Każdemu z nich obiecał wynagrodzenie w wysokości trzech funtów i tyle piwa, ile tylko zdołają wypić. Pewnej bezkiszowej nocy zimowej w roku 1794 spotkał się dr Chambers ze swymi wybrańcami za kościołem im. Trójcy Świętej w Stratford-on-Avon. Zapalono latarnię i dr Chambers wraz z wykradaczami zwłok znaleźli się w świątyni.

Zaczęto »pracować« przy dwóch płytach kamiennych, na przeciw głównego ołtarza. »Wszystko, co było między nami a Shakespeare’em - pisze dr Chambers - to warstwa brunatnej ziemi zmieszana z kawałeczkami spróchniałego drzewa i odłamkami szkła».

Chambers wściekły

»Kazałem ludziom - relacjonuje Woodhall - odłożyć łopaty i kopać dalej rękami. Potem wydobył Tom Dyer czaszkę. Wziąłem czaszkę Shakespeare’a do rąk i przyglądałem się jej uważnie«. W ten sposób popełniona została jedna z najobrzydliwszych kradzieży. Obrabowanie grobu nie przyniosło dr. Chambersowi powodzenia. Już następnego dnia odwiedził on Horacego Walpole ze Strewberry Hill. Ale tu został szorstko odprawiony. Lordowi Oxfordu nie śniło się wypłacić mu 300 gwinei i młody lekarz był wściekły.

Na szczęście jeden ze wspólnych znajomych tych obu nie spoczął, dopóki nie wymusił na dr. Chambersie solennej obietnicy, że czaszkę umieści z powrotem tam, skąd ją zabrał. Niemniej nikt nie może stwierdzić z pewnością, czy czaszka wróciła na swoje miejsce”. **opr. stanmajer**



FOT. MARIUSZ GADOMSKI

Początki Lubelskiej Spółdzielni Niewidomych sięgają roku 1945

TRAGICZNA ZABAWA W SPÓŁDZIELNI NIEWIDOMYCH

Jedna chwila uczyniła go mordercą.
Zabłąkany neuron w mózgu kazał mu
sięgnąć do kabury po pistolet i oddać strzał.
Wszystko przez alkohol – mówili świadkowie

Mariusz Gadomski

W 1965 roku Lubelska Spółdzielnia Niewidomych obchodziła dwudziestolecie działalności. Z okazji jubileuszu zorganizowano zabawę taneczną dla pracowników LSN, w której uczestniczyły również zaproszone osoby z zewnątrz. Nikt nie spodziewał się, że dojdzie do tragedii.

Od szczonek do elektryki

Początki Lubelskiej Spółdzielni Niewidomych sięgają roku 1945. Do Lublina przyjechał Modest Sękowski, niewidomy wychowanek Zakładu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą, celem podjęcia studiów na Wydziale Humanistycznym KUL. Ale nie tylko. Pragnął pomóc ludziom niewidomym.

Po wojnie w Lublinie było wiele osób, które straciły wzrok na skutek wybuchów bomb lub min. Sękowski chciał stworzyć dla nich specjalny ośrodek re-

habilitacji i miejsca pracy, żeby nie musieli być na łasce opieki społecznej. Inicjatywa zyskała akceptację Zarządu Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi. Pierwotna siedziba Lubelskiej Spółdzielni Inwalidów mieściła się przy ulicy 1 Maja 14, w pomieszczeniu użyczonym przez Polski Czerwony Krzyż. Zaczęto od produkcji szczonek. Spółdzielnia sprzedawała je we własnym firmowym sklepie. Z czasem rozszerzono asortyment produkcji o kapsle do butelek, zabawki pluszowe a przede wszystkim o osprzęt elektryczny: przełączniki samochodowe, stacyjki zapłonowe, bezpieczniki, przewody, wyłączniki do pralek, itp.

Spółdzielnia bardzo dobrze prosperowała, cieszyła się uznaniem władz. W najlepszych latach zatrudniała ponad tysiąc osób. Lokal na 1 Maja był zbyt ciasny, toteż podjęto decyzję o przeprowadzce do budynku przy ulicy Bartosza Głowackiego 35.

Jestem z milicji i wszystko mi wolno!

Dwudziestolecie działalności LSN uczciła nowymi planami produkcyjnymi. Z okazji jubileuszu zasłużeń członkowie zostali uhonorowani odznaczeniami. Było co świętować.

W dniu 6 listopada 1965 roku zarząd i kierownictwo spółdzielni zorganizowały zabawę taneczną. Uroczystości przystrojono największą salą w LSN, zamówiono zespół muzyczny i przygotowano bufet. Zabawa miała charakter wewnętrzny. Wśród uczestników byli pracownicy LSN, ich rodziny oraz zaproszeni goście, między innymi przedstawiciele władz centralnych i lokalnych. Nad sprawnym przebiegiem imprezy czuwał powołany doraźnie kilkusobowy komitet organizacyjny na czele z przewodniczącym, na którego został wybrany 34-letni Leopold N., na co dzień kierownik wydziału elektrycznego.

Atmosfera na sali tanecznej była uroczysta i radosna. Niestety, nie wszyscy uczestnicy jubileuszowej imprezy potrafili uszanować uroczysty nastrój. Jeden z pracowników LSN zaprosił na zabawę swojego szwagra, Piotra W. Szwagier, jak się okazało, był funkcjonariuszem Milicji Obywatelskiej w stopniu plutonowego. Przyszedł w mundurze, z bronią i mocno podchmielony. Przy bufecie jeszcze dołożył zacząć szukać guza. Wulgarnie narzucał się kobietom, groził pobiciem mężczyznom, wyśmiewał niepełnosprawność uczestników zabawy.

Początkowo starano się nie zwracać na niego uwagi. Jego zachowanie tłumaczono nadmiarem alkoholu. Ponadto nikt nie chciał zwady z milicjantem.

Piotr W. zapewne wiedział, że budzi strach. Odrobina posiadanej władzy popychała go do coraz większej agresji. W końcu ktoś miał tego dość i poprosił o interwencję przewodniczącego komitetu organizacyjnego. Leopold N. poradził Piotrowi W. uspokoić się i nie zaczepiać uczestników zabawy, na co tamten odparł, że jest z milicji i wszystko mu wolno. Z beczelnym uśmiechem spytał Leopolda N. czy chce sobie narobić kłopotów.

Kierownik wydziału elektrycznego oczywiście nie chciał żadnych problemów. Coś jednak trzeba było zrobić z pijakiem. Sytuacja zmusiła organizatorów zabawy do wezwania pogotowia milicyjnego. Niebieska nyska z komisariatu dzielnicowego wkrótce przyjechała. Piotr W. stawiał się również swoim kolegom. Z wielkim trudem zapakowali go do radiowozu i odjechali z nim. Uczestnicy zabawy odetchnęli z ulgą. Niestety, nie na długo. Zdarzenie miało ciąg dalszy. Połała się krew,

Ręka rękę myje...

Gdyby Piotr nie był milicjantem, lecz zwykłym szarym obywatelem spędziłby noc w gościnnych progach izby wytrzeźwień przy ulicy Kawiej. Niewykluczone, że miałby postawione zarzuty zakłócania porządku publicznego na imprezie tanecznej i stawiania oporu funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej. W najlepszym dla niego wypadku odpowiedzialny za to przedkolegium do spraw wykroczeń i zapłaciłby wysoką grzywnę. W niekorzystnym wariantcie poszedłby siedzieć.

Był jednak kolegą po fachu tych, którzy go zgarnęli, a to

zmieniało postać rzeczy. Nie wiadomo jakie były relacje między funkcjonariuszami. Mogli się nawet nie znać osobiście. Wiadomo jednak, że ręka rękę myje. W formacjach policyjnych solidarność zawodowa jest szczególnie silna. Dzisiaj ty mnie kryjesz, jutro ja ciebie – tak ona brzmi.

Nie upłynęła nawet pełna godzina od zabrania awanturnika z zabawy, gdy ten, puszczonej wolno, znów się zjawił przed wejściem do LSN. Jeśli ktoś pomyślał, że przetrzeźwiał i przyszedł przeprosić, byłby w błędzie. O braku jakiegokolwiek skruchy, nie mówiąc już o wstydzie, świadczyła buńczuczna mina Piotra W. Używając wulgaryzmów żądał aby wpuszczono go na zabawę. Wykrzykiwał, że ma tu rachunki do wyrównania i załatwi wszystkich, którzy będą mu się sprzeciwiać. Przykra sytuacja sprawiła, że przerwano zabawę. Ze zgorszeniem spoglądano na człowieka, który ją zakłócił.

W pewnym momencie Piotr W. wdarł się budynku a następnie pobiegł do sali tanecznej. Zobaczył w niej Leopolda N. Bez namysłu sięgnął prawą ręką do kabury, wyszarpnął z niej pistolet i wymierzył do przewodniczącego. Tamten nie zdążył wykonać najmniejszego ruchu. Piotr W. strzelił do niego. Kula trafiła Leopolda N. w klatkę piersiową zabijając go na miejscu.

Sam sobie wymierzył sprawiedliwość

Świadkowie zdarzenia próbowali zatrzymać Piotra W. ale wyrwał się im, grożąc użyciem broni. Zamierzał uciec z pomieszczeń LSN. Ponownie wezwano ekipę milicji. W trakcie pościgu za sprawcą doszło do strzelaniny. Jeden ze słabo widzących pracowników spółdzielni, który znalazł się na linii ognia, został postrzelony przez Piotra W. w nogę.

Morderca zdawał sobie sprawę, że nie ma szans na ucieczkę. Wiedział też, że jeśli go schwytają, srogo zapłaci za swój czyn. W tamtych czasach sądy nie patyczkowały się z zabójcami. W przypadku zbrodni z premedytacją nierzadko skazywano sprawców na karę śmierci i nierzadko wyroki były wykonywane.

Piotr W. nie chciał zawisnąć na szubienicy. Postanowił sam wymierzyć sobie sprawiedliwość. W komorze broni został mu jeden nabój. Przystawił lufę pistoletu do skroni i nacisnął

spust. Nie przeżył samobójczego zamachu.

Zabójstwo w spółdzielni niewidomych głęboko poruszyło lubelskie społeczeństwo. Zginął młody mężczyzna, mąż, ojciec trójki dzieci, ceniony pracownik i społecznik. Poniósł bezsensowną śmierć, bo stanął mu na drodze pijany milicjant, któremu wydawało się, że jest ponad prawem. Żądano pociągnięcia do odpowiedzialności funkcjonariuszy, którzy wypuścili Piotra W. chociaż powinni go odstawić na dołek. Milicja Obywatelska nigdy nie miała w narodzie wysokich notowań, a po tym zdarzeniu sięgnęły dna. Bandyci, gestapo – takie epitety nie należały do rzadkości.

Z tego powodu tragedii nie można było zamieść pod dywan. Na przykład sprokurować wersji o nieszczęśliwym wypadku z użyciem broni palnej. Zbyt wielu świadków widziało co się wydarzyło. Władze nakazały przeprowadzenie wnikliwego śledztwa bez mataczenia i wybielania winnego.

Sprawa była przez ponad pół roku badana przez śledczych z Komendy Wojewódzkiej MO. Nie doszukano się niczego ponadto to o czym wiadomo już bezpośrednio po zdarzeniu. Nietrzeźwy plutonowy MO zastrzelił bez powodu pracownika Lubelskiej Spółdzielni Inwalidów, a następnie przy wykorzystaniu służbowej broni popełnił samobójstwo.

Milicja czując się pośrednio winna tragedii, zainteresowała się losem wdowy po zastrzelonym Leopoldzie N. i dziećmi, które osierocił. Rodzina otrzymała od KWMO w Lublinie rentę specjalną w wysokości 1300 złotych miesięcznie oraz jednorazowo 40 tysięcy złotych tytułem odszkodowania.

Przodująca firma

Lubelska Spółdzielnia Niewidomych nosi imię Modesta Sękowskiego, który zmarł w Lublinie w 1972 r. Niebawem będzie obchodzić 70-lecie działalności. Przechodziła różne koleje losu. Parokrotnie była bliska zamknięcia, ale za każdym razem udawało jej się przejść zwycięsko przez trudny okres.

Obecnie LSN pracuje dla branży rolniczej, motoryzacyjnej i elektrotechnicznej. Produkuje między innymi wiązki przewodów elektrycznych z głównym przeznaczeniem do motoryzacji oraz samochodowe bezpieczniki płytkowe. Ponadto świadczy usługi produkcyjne w zakresie obróbki metali i przetwórstwa tworzyw sztucznych. Należy do przodujących firm w województwie lubelskim.

Spółdzielcy żyją nie tylko pracą. W przeszłości sportowcy z LSN uczestniczyli w igrzyskach paraolimpijskich, gdzie zdobywali trofea medalowe. ©

*GDY ZOBACZYŁ LEOPOLDA N. BEZ
NAMYSŁU SIĘGNĄŁ PRAWĄ RĘKĄ
DO KABURY, WYSZARPNĄŁ Z NIEJ
PISTOLET I WYMIERZYŁ DO PRZEWODNICZĄCEGO*

REKLAMA

0011412902

OGŁOSZENIE O ROZPOCZĘCIU KONSULTACJI SPOŁECZNYCH

PROJEKTU ZMIANY MIEJSCOWEGO PLANU ZAGOSPODAROWANIA PRZESTRZENNEGO GMINY KURÓW OBRĘB ŁĄKOĆ, W GRANICACH DZIAŁEK NR GEOD. 638/1, 640/1, 642/3, 642/4, 655/1

Na podstawie art. 17 pkt 11 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1130 z późn. zm.), art. 39 ust. 1 pkt 2 w związku z art. 54 ust. 2 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1112 z późn. zm.) oraz Uchwały Nr V/46/2019 Rady Gminy Kurów z dnia 29 marca 2019 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego Gminy Kurów, (dalej: projekt zmiany miejscowego planu),

ZAWIADAMIAM

o konsultacjach społecznych projektu zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego Gminy Kurów wraz z prognozą oddziaływania na środowisko, w dniach od 10 października 2025 r. do 10 listopada 2025 r.

Konsultacje prowadzone będą w następujących formach:

- zbieranie uwag w terminie od 10 października 2025 r. do 10 listopada 2025 r., na wzorze formularza dostępnego do pobrania w Biuletynie Informacji Publicznej w zakładce Planowanie przestrzenne pod niniejszym ogłoszeniem oraz w Urzędzie Miejskim w Kurowie w pokoju nr 1,
- spotkanie otwarte, które odbędzie się w dniu 30 października 2025 roku w godzinach 15:30 - 16:30 w sali Gminnej Biblioteki Publicznej w Kurowie (dawniej wikariat), ul. Wojska Polskiego 1, 24-170 Kurów – spotkanie poprzedzone będzie prezentacją projektu zmiany miejscowego planu,
- dyżur projektanta, który odbędzie się w dniu 30 października 2025 roku w godzinach 16:45 – 17:45 w sali Gminnej Biblioteki Publicznej w Kurowie (dawniej wikariat), ul. Wojska Polskiego 1, 24-170 Kurów.

Projekt zmiany miejscowego planu wraz z prognozą oddziaływania na środowisko będzie udostępniony do wglądu w Urzędzie Miejskim w Kurowie, ul. Lubelska 35, 24-170 Kurów, pokój nr 1, w godzinach pracy Urzędu oraz w Biuletynie Informacji Publicznej w zakładce Planowanie przestrzenne.

Jednocześnie, na podstawie art. 39, art. 46 ust. 1 pkt 1, art. 54 ust. 2 i ust. 3 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 1112 z późn. zm.) zawiadamiam, że ww. projekt miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego, podlega strategicznej ocenie oddziaływania na środowisko, w tym zapewnieniu możliwości udziału społeczeństwa w okresie wyłożenia do publicznego wglądu, o którym mowa powyżej.

Osoby prawne i fizyczne oraz jednostki organizacyjne nieposiadające osobowości prawnej mogą wносить uwagi do projektu miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego oraz w ramach strategicznej oceny oddziaływania na środowisko w terminie od 7 października 2025 r. do 7 listopada 2025 r.

Uwagi należy składać na piśmie do Burmistrza Kurowa, osobiście w Urzędzie Miejskim w Kurowie, pocztą na adres: Urząd Miejski w Kurowie, ul. Lubelska 35, 24-170 Kurów, za wniesione na piśmie uznaje się również uwagi wniesione za pomocą elektronicznej skrzynki podawczej opatrzone kwalifikowanym podpisem elektronicznym, podpisem zaufanym albo podpisem osobistym na adres: gmina@kurow.eu, na Elektroniczną Skrzynkę Podawczą Urzędu Miejskiego w Kurowie na adres ESP:/8dguj0r78k/SkrytkaESP albo /8dguj0r78k/skrzynka1 lub poprzez elektroniczny odpowiednik listu poleconego e-Doręczenia (adres skrzynki: AE:PL-61392-25976-VRHW-30).

Uwagi należy składać na formularzu stanowiącym załącznik do rozporządzenia Ministra Rozwoju i Technologii z 13 listopada 2023 r. w sprawie wzoru formularza pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego (Dz.U. z 2023 r. poz. 2509).

Uwagi powinny zawierać imię i nazwisko lub nazwę jednostki organizacyjnej, adres, oznaczenie nieruchomości, której uwaga dotyczy. Organem właściwym do rozpatrzenia uwag jest Burmistrz Kurowa.

Organem właściwym do rozpatrzenia uwag i wniosków złożonych w zakresie ochrony środowiska jest Burmistrz Kurowa.

Klauzula informacyjna:

- Administratorem danych osobowych jest Burmistrz Kurowa, Urząd Miejski w Kurowie, ul. Lubelska 35, 24-170 Kurów.
- W sprawach ochrony danych osobowych można kontaktować się z Inspektorem Ochrony Danych pod adresem: Urząd Miejski w Kurowie ul. Lubelska 35, 24-170 Kurów, e-mail: inspektor@cibi24.pl.
- Dane osobowe przetwarzane będą w celu realizacji zadań publicznych określonych przepisami prawa, tj. miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego i będą udostępniane podmiotowi odpowiedzialnemu za wykonanie ww. zadania publicznego.
- Dane osobowe przechowywane będą do czasu realizacji obowiązku wynikającego z przepisów prawa ustawowego lub prawa miejscowego lub do czasu realizacji określonego zadania/projektu.
- Klient posiada prawo dostępu do treści swoich danych oraz prawo ich sprostowania, usunięcia, ograniczenia przetwarzania, prawo do przenoszenia danych, prawo wniesienia sprzeciwu, prawo do cofnięcia zgody w dowolnym momencie bez wpływu na zgodność z prawem przetwarzania, którego dokonano na podstawie zgody przed jej cofnięciem.
- Klient ma prawo wniesienia skargi do organu nadzorczego obecnie do Prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych, gdy uzna, że przetwarzanie danych osobowych dotyczących Klienta narusza przepisy ochrony danych osobowych.
- Podawanie danych osobowych w zakresie wymaganych obowiązującymi przepisami prawa jest obowiązkowe. W pozostałych przypadkach podawanie danych osobowych ma charakter dobrowolny.
- Dane osobowe nie będą profilowane.
- Administrator nie ma zamiaru przekazywać danych osobowych do państwa trzeciego lub organizacji międzynarodowej.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800 472 852
Przez internet: www.kurierlubelski.pl e-mail: reklama@kurierlubelski.pl
W Biurze Reklamy:

LUBLIN
Biuro Ogłoszeń
Krakowskie Przedmieście 10
tel. 503 138 578, 81 446 28 02, fax 81 446 28 14
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

LUBLIN
Biuro Reklamy
Krakowskie Przedmieście 10 lok. 3
tel. 81 446 28 49 do 858, fax 81 446 28 19
e-mail: reklama@kurierlubelski.pl

AUTOREKLAMA



Nieruchomości

DOMY - SPRZEDAM

LUBLIN - Dziesiąta. Sprzedam 1/2 bliźniaka wraz z działką ogrodzoną o pow. 305 m². Pow. użyt. domu 270m², podpiwniczony. Pow. mieszkalna 202,50m²
4 kondygnacje w każdej 3 pok. z kuchnią.
Garaż z kanałem w bryle budynku.
Dom dla dużej rodziny lub inwestycji.
Własność prywatna KW. Cena 1 150 000 zł.
t. 798-189-367; 601-495-179

Praca

ZATRUDNIĘ

W gospodarstwie mlecznym,
z doświad.- zamieszkanie, 517-433-784

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

Remonty, wykończenia mieszkań i lokali - kompleksowo, naprawy hydrauliczne, elektryczne drobne naprawy 508-56-56-52, 81\740-03-99

PRZEPROWADZKI

USŁUGI transportowe, 665-196-198

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic - tradycyjne turnusy Świąteczne, tel.: 501-642-492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

KUPIĘ starocie, antyki, obrazy, zegary, monety, pamiątki wojenne, stare książki, biżuterię i inne. t. 607 279 102

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

USŁUGI ogrodnicze: przycinanie żywopłotu, wycinka drzew pracę z piłą motorowa

i glebogryzarka, zakładanie trawnika z siewu i rolki, mycie kostki brukowej i tarasów., 694-706-823

Towarzyskie

SANDRA, 885-213-554

EKSPRESOWE OGŁOSZENIA z dnia na dzień

Handlowe

MASZYNY URZĄDZENIA

Sprzedam maszyny i urządzenia szwalnicze: stebnówki, overloki, dwuigłówki, dziurkarki, guzikarki, podszywarki, stoły prasownicze, wytłornice pary, noże krojce, krajarka taśmowa, klejarka, zgrzewarka, urządzenia do uzdatniania wody i wyposażenie pomocnicze. Zamość t. 509 675 884

REKLAMA

0011413207



Minister
Finansów i Gospodarki

OBWIESZCZENIE

Na podstawie art. 49 § 1 i 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 572, z późn. zm.), oraz art. 11f ust. 3 i 7 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (t.j. Dz.U. z 2024 r. poz. 311)

Minister Finansów i Gospodarki

zawiadamia, że wydał decyzję z dnia 19 września 2025 r., znak: DLI-III.7621.73.2022. KR.18(DLI-II.KR/JK), zmieniającą w części decyzję Ministra Rozwoju z dnia 21 sierpnia 2020 r., znak: DLI-III.7621.30.2019.KS.16(DLI-III.4621.32.2019.KS), uchylającą w części i orzekającą w tym zakresie co do istoty sprawy, a w pozostałej części utrzymującą w mocy decyzję Wojewody Lubelskiego Nr 10/19 z dnia 27 czerwca 2019 r., znak: IF-I.7820.11.2018. DS., o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej pn.: „Budowa drogi ekspresowej S19 Lublin – Rzeszów, odcinek koniec obwodnicy Kraśnika ÷ węzeł »Sokołów Młp. Północ«, odc. 3: odcinek Janów Lubelski węzeł »Jonaki« obecnie »Janów Lubelski Południe« bez węzła ÷ węzeł »Łązek Ordynacki« obecnie »Lasy Janowskie« wraz z węzłem, długości ok. 8 km”.

Strony w sprawie z treścią ww. decyzji (wraz z załącznikami) z dnia 19 września 2025 r. oraz aktami sprawy mogą zapoznać się w Ministerstwie Rozwoju i Technologii w Warszawie, ul. Chałubińskiego 4/6, we wtorek, czwartki i piątki, w godzinach od 10:00 do 14:30, po wcześniejszym umówieniu się telefonicznie pod numerem telefonu 22 323 40 70 - od poniedziałku do piątku w godzinach 10:00 – 14:30, jak również z treścią ww. decyzji (bez załączników) – w urzędzie gminy właściwym ze względu na przebieg drogi, tj. w Urzędzie Miejskim w Janowie Lubelskim.

Jednocześnie informuję, że właściwym w przedmiotowej sprawie - stosownie do treści rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 25 lipca 2025 r. w sprawie szczegółowego zakresu działania Ministra Finansów i Gospodarki (Dz.U. z 2025 r. poz. 997) - jest obecnie Minister Finansów i Gospodarki. Natomiast zgodnie § 1 ust. 4 pkt 1 lit. a i b ww. rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z dnia 25 lipca 2025 r., obsługę Ministra Finansów i Gospodarki zapewnia Ministerstwo Rozwoju i Technologii w zakresie działów administracji rządowej: budownictwo, planowanie i zagospodarowanie przestrzenne oraz mieszkalnictwo; gospodarka.

Data publikacji obwieszczenia: 10 października 2025 r.

Krzyżówka panoramiczna

wielbiany płaszcz o prostym kroju		„... na dwa serca”		8	dźwiga odważniki	Jose Carreras	roślina na kawę zbożową	strączyńnic		waluta Brazylii		sol na pięcio- linii		zespół Roberta Gawlińskiego	
laboratorium z retortami															
					3		stolica Korei Południowej	9						Zając lub Kreglicka	
baśniowa postać						1	dawny sklep mięsny	12		16					
nazwa							dotykowy w smartfonie								
biel lub granat				7											
								Delon lub Resnais		bożek miłości		rodzi- cielka		odtwor- zacz mp3	
dawny taniec francuski		bożyszcze fanów			dawniej kojarzył pary	cena za usługi									
							mięka tkanina	np. plan miasta						5	
... Kołodziej widli- szek					z szalami Erato lub Klio		10	konkurent „Bryzy”				6		wygląd zewnętrzny	
							nasiodówka u prezesa	2							
przed marcem				11											
cecha krasomowcy		dach nad peronem				wynalazek Gutenberga	Uśmiechnij się! Hiszpan do kumpla: – Zrobiłem sobie tatuaż imienia mojej sympatii! – Świetnie, ale co, jeśli zerwiecie? – Powiem, że to ... 								
				4											
polski taniec ludowy					orzeł przedni	beryłowiec									
długa żerdź głoś męski				13											
						ceramiczna holerderka									
							14	15							

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 17 utworzą rozwiązanie – dokończenie dowcipu z okienka.

Krzyżówka A-Ż

Każdy odpadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- A) ... Jerozolimskie, reprezentacyjna ulica w stolicy (5).
- B) miękki ser podpuszczkowy rodem z Francji (4).
- C) władca dawnego Egiptu (ma piramidę) (6).
- D) partyjny aktywista; propagandysta (8).
- E) solenizantka z 5 lipca (8).
- F) pionowa podpora mostu (5).
- G) piękna żona legendarnego króla Artura (7).
- H) drapieżnik z afrykańskiej sawanny (5).
- I) średniowieczni wędrowni kuglarze (5).
- J) złożone z sędziów konkursowych (4).
- K) codzienna robocza monotonia (6).
- L) starożytna nazwa Sparty (9).

- Ł) wykonawczyni przeboju „W
złoty płomieniach liści”
(5,4).
- M) ... Welt, postać z „Ziemi
obiecanej” (5).
- N) bezsilność, słabość (6).
- O) drzewo liściaste podmok-
łych terenów (5).
- P) bystry w potoku, nurt (4).
- R) piesek z kreskówki (6).
- S) Bona ..., polska królowa,
żona Zygmunta Starego (6).
- T) zbytnia pewność siebie (5).
- U) zbyt szybko przemija (5).
- W) woda o temperaturze około
100 st. C (5).
- Z) Jerzy, aktor kojarzony z ro-
lą w filmie „Faraon” (6).
- Ż) muzyczne talerze, czyniele
(4).

Krzyżówka z hasłem

[illegible]

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 18 utworzą rozwiązanie – myśl Cycerona.

Poziomo:

- | | |
|--------------------------------|----------------------------|
| 1) mieszanina, miszmasz, | 3) waga ciała ponad normę, |
| 7) wykorzystywanie robotników, | 4) dawne narzędzie tortur, |
| 8) strata, szwank, | 5) miasto nad Rodanem, |
| 9) pierścion z herbem, | 6) śląska gra w karty, |
| 12) harap, bicz, | 9) generały w wojsku, |
| 13) praca przy krosnach, | 10) poemat Byrona, |
| 15) hinduski bóg miłości, | 11) wrocławski kabaret, |
| 17) drugi okres mezozoiku, | 14) zupa na zakwasie, |
| 18) sposób walki na morzu, | 15) plemienny przywódca, |
| 22) talizman, amulet, | 16) słup z flagą, |
| 23) dwutakt z NRD. | 19) obraca się w zegarku, |

Pionowo:

- 1) Miki z kreskówki, 21) mierzony w tynfach.

	bogini z opaską na oczach	uchwyt słusarski	siłna zazdrość	roślina włókno-dajna
	papier do wykłanjania ścian	WIRÓWKA PANORAMICZNA		dawne Włochy
	pewna liczba akcji	bohater „Placówki”	czynność we „Frani”	np. „Czas honoru”

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie – przysłowie.

Duet jolek

W diagramach ujawniono wszystkie litery „B”. Litery czytane wzdłuż linii przerywanej (w obu diagramach), utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.

W przypadkowej kolejności:

- Nobla lub Pulitera
- zachłanna osoba; dusigrosz
- pokój dla letnika
- marazm, zastój
- mecenas w todze
- handluje sztuką ludową
- gubi igły zimą
- dawna nazwa magazynu broni; arsenał
- rażąca część granatu
- Alec, aktor z USA („Polowanie na Czerwony Październik”)
- stały element czasopisma

Logogryf

1	2	3	4	5
	●	●	●	●
	●	●	●	●
	●	●	●	●

**Litery w polach z kropką
czytane kolumnami utworzą
rozwiązanie – tytuł filmu.**

- 1) lek na wszystkie choroby,
- 2) rozpylacz do perfum,
- 3) niezdara, safandula,
- 4) sala z „Atlasem”,
- 5) „... z Wall Street”.

Krzyżówka

	1		2		3
4			•		
			•	•	
		■		■	
5			•	•	
		■		■	
6					

Litery z pól oznaczonych kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4, 5, 6) efekt marnotrawstwa, bezmyślności lub wypadku samochodowego.

Pionowo:

- 1) dekoracyjne zwieńczenie elewacji budynku,
- 2) żartobliwie o pieniądzech,
- 3) skwarki do pierogów.

Szyfr

	2	14	3	13	6
	11			10	
	9			4	
7	1	12	8	5	

**Litery z pól od 1 do 14
utworzą rozwiązanie: imię i
nazwisko aktora.**

Poziomo:

- 2) makaron do rosółu,
7) niezbyt inteligentny.

Pionowo:

- 2) pole działania,
13) drzewo - dostawca syropu.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna:
... nazwa jego jachtu;
wironka panoramiczna;
Miłoś zasiepiea, krzyżówka z
nasłem: każdy zysk jest dobry;
krzyżówka: manko; duet
Jolek: "Czarna wdowa", sztyr;
Antoni Pawlicki; logograf;
"Anatomia miłości"; krzyżówka
A-Z: biennale.

ŚLOWNIK: DUAL, LLANERO, SAFES, SKARN, STAWAK,

ROZWIĄZANIE: MILCZENIE JEST SKARBEM POLITYKI.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Czas działać! Horoskop dzienny mówi, że odwaga przyniesie sukces, ale trzeba też słuchać intuicji i serca.

Ryby (19.02 - 20.03)
Zaufaj cierpliwości. Horoskop na dziś zapowiada, że twoje starania w końcu zaowocują, a harmonia wróci do codzienności.

Baran (21.03 - 19.04)
Nie bój się zmian. Horoskop dzienny na piątek mówi, że nowa znajomość lub projekt przyniosą świeżą energię.

Byk (20.04 - 20.05)
Uporządkuj emocje, zanim ruszysz dalej. Horoskop dzienny wyraźnie wróży, że dom i bliscy dadzą ci spokój, jakiego potrzebujesz.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Twoja charyzma rozbłyśnie! Horoskop na dziś radzi śmiało prezentować pomysły. Uznane jest na wyciągnięcie ręki.

Rak (22.06 - 22.07)
Zadbaj o zdrowie i balans. Horoskop dzienny na piątek radzi perfekcjonizm odłożyć na bok. Znajdziesz dzięki temu radość w codzienności.

Lew (23.07 - 22.08)
Unikaj dzisiaj drażliwych tematów. Horoskop dzienny wyraźnie ostrzega, że podejmowanie ich może zakończyć się sporą awanturą.

Panna (23.08 - 22.09)
Zaufaj przemianie — coś się kończy, by coś lepszego mogło się zacząć. Horoskop na dziś wyraźnie podpowiada, by nie bać się prawdy.

Waga (23.09 - 22.10)
Otwórz się na podróże i nowe idee. Przygoda wzywa, a horoskop dzienny na piątek mówi, że szczęście sprzyja odważnym decyzjom.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Cierpliwość przyniesie stabilność. Horoskop dzienny to wyraźna wskazówka, by nie spieszyć losu...

Strzelec (22.11 - 21.12)
Twoje pomysły zainspirują innych ludzi. Horoskop na dziś podpowiada, by nie zrażać się krytyką, bo niezależność jest twoją siłą.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Wsluchaj się w sny i intuicję. Horoskop dzienny na piątek wyraźnie wróży, że to one wskażą ci właściwą drogę do celu i spokoju ducha.

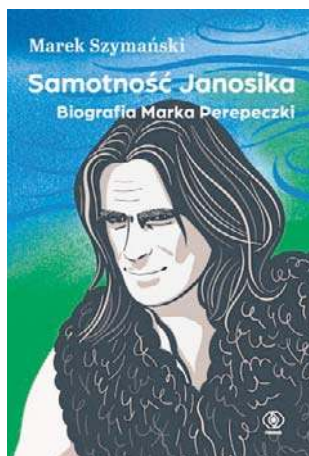
CHCESZ OTRZYMAĆ KSIĄŻKĘ? WSKAŻ JĄ, WYCINAJĄC JEDNĄ Z ILUSTRACJI ZAMIESZCZONYCH PONIŻEJ, NAKLEJ NA KARTKĘ POCZTOWĄ I WYŚLIJ DO KURIERA. CZEKAMY TYDZIEŃ. LISTĘ SZCZĘŚLIWCÓW PUBLIKUJEMY PONIŻEJ.



Lisa Ridzén „Kiedy żurawie odlatują na południe”

Poruszający opis walki starzejącego się mężczyzny o zachowanie godności i kontroli nad własnym życiem. Monotonną egzystencję urozmaica mu jedynie wizyty pracowników opieki, którzy dbają o niego w domu. Zdumiewająca, delikatna i pięknie napisana powieść o ostatnich chwilach starszego mężczyzny. Życiowa historia o przyjaźni, związkach, starzeniu się i zadośćuczynieniu. Mocna lektura, która budzi emocje, empatię i łyzy. Wiele mówi o dzisiejszej Szwecji i społeczeństwie. To debiut autorki, który został uznany za Książkę Roku 2024 w Szwecji, stając się ulubioną lekturą krytyków i dziennikarzy całej Skandynawii. Prawa do książki sprzedano już do 38 krajów.

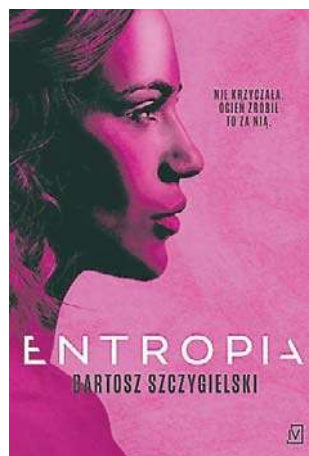
Albatros



Marek Szymański „Samotność Janosika”

Pierwsza biografia pamiętnego harnasia z kultowego serialu Jerzego Passendorfera. Burzliwe losy aktora: od spektakularnej kariery na przełomie lat 60. i 70., po czasy długiego zapomnienia, emigracji na Antypody, a potem powrotu na ekrany. Trudna historia miłości do ukochanej kobiety, przygody z teatrem pod koniec życia. Perepeczko i jego prywatne życie jest mało znany widzom i czytelnikom 50 plus, a co dopiero młodszemu pokoleniu. Daniel Olbrychski tak to spuentował: „To wzruszające, że powstała książka o Marku. On na nią zwyczajnie zasługuje. Kolejne pokolenia oglądają przecież „Pana Wołodyjowskiego” i „Janosika”. I zastanawiają się: kim był ten Perepeczko?”.

Rebis



Bartosz Szczygielski „Entropia”

Od lat potrafi czytać je z ludzkich twarzy jak z otwartej książki. Wydawało się, że nic już jej nie zaskoczy. Póki nie nadeszła pewna zimowa noc. Stacja benzynowa, paczka zapalek i kobieta, której spojrzenie zdradzało nadchodzącą tragedię. Ogień pochłonął więcej niż tylko ciało. Mort zostaje wciągnięta w sprawę, która powinna już dawno zostać zamknięta. Im mocniej zaczyna w niej drążyć, tym bardziej przekonuje się, że pod powierzchnią czekają na nią kolejne kłamstwa. Gdziekolwiek nie spojrzysz, towarzyszy jej sieć przemyśleń i win. „Entropia” to najmroczniejszy rozdział w życiu Alicji Mort. To powieść o bólu i ogniu, który pali nie tylko ciało, ale i sumienie.

Czwarta Strona



Chiti Parikh „Zdrowie w twoich rękach”

Przewodnik po zdrowiu całego ciała, integrujący tradycyjne wschodnie praktyki lecznicze i nowoczesne osiągnięcia medycyny Zachodu. Autorka połączyła sprawdzone od tysięcy lat praktyki medycyny wschodniej z nowoczesną nauką Zachodu, aby umożliwić osiągnięcie równowagi ciała, umysłu i ducha. Z tej książki dowiesz się, jak odbudować filary twojej vitalności. Dr Chiti Parikh proponuje 28-dniowy program, który pozwoli ci rozpocząć podróż ku świadomemu zdrowiu i odblokować prawdziwy potencjał organizmu. Przywrócenie w organizmie stanu równowagi jest kluczem do vitalności, długiego życia i zapobiegania chorobom. Zdrowie, to życie pełne energii i manifestowanie swojego potencjału.

Rebis



Prezentujemy listę laureatów. Oni wygrali książki w „Kurierze”:

- 5.09 - Alicja Chwyć, Maria Banaszek, Mariusz Drel, Adam Sądek, Aneta Derejło, Jan Balicki
- 12.09 - Ewa Czecytowicz, Jolanta Bliska, Barbara Sierpień, Krzysztof Baranowski, Łucja Skawska, Tomasz Kowalik
- 19.09 - Cezary Słupczyński, Artur Chwyć, Magdalena Frej, Józef Soliński, Jadwiga Małek
- 26.09 - Czesław Iwański, Zbigniew Malec, Maria Baranowska, Mateusz Kot, Żaneta Ferenc

Laureatom gratulujemy, nagrody książkowe wyślemy pocztą

HISTORIA

Armia gen. Andersa zrodziła się jak Feniks z popiołów...

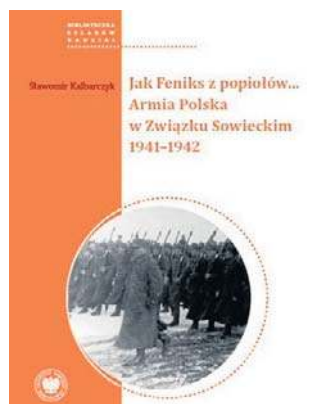
Zawarty w lipcu 1941 r. sojusz wojskowy między Polską a Związkiem Radzieckim zakładał utworzenie w ZSRR Armii Polskiej, która na froncie wschodnim miała „ramię w ramię” z Armią Czerwoną walczyć przeciwko „wspólnemu wrogowi” - III Rzeszy. Armię pod wodzą gen. Władysława Andersa udało się sformować, ale jej losy potoczyły się inaczej, niż zakładano.

Książka Sławomira Kalbarczyka to nie tylko drobiazgowo odtworzony proces formowania armii, ale także jej obraz od wewnątrz: stosunków między ludzkimi, formy spędza-

nia wolnego czasu, rozrywek, zdrowia itd.

Ów wspomniany na początku lipcowy układ, zwany układem Sikorski-Majski, przywracał stosunki między obu państwami, zerwane 17 września 1939 r. z chwilą agresji ZSRR na Polskę wobec wysuniętego wówczas w nocy oficjalnego stwierdzenia władz ZSRR o „zaprzestaniu istnienia państwa polskiego”. Układ miał na celu wspólną walkę obu państw.

Dokumenty podpisano w lipcu, a już 11 sierpnia naczelny wódz Władysław Sikorski powierzył dowodzenie przy-



Sławomir Kalbarczyk, „Jak Feniks z popiołów... Armia Polska w Związku Radzieckim 1941-1942”, IPN, 40 zł

słą armią gen. dyw. Władysława Andersowi, wciąż przetrzymywanemu w więzieniu NKWD na Łubiance. Trzy dni potem - 14 sierpnia podpisano umowę wojskową, która dała

podstawę do rozpoczęcia formowania Armii Polskiej.

27 sierpnia w gmachu polskiej ambasady w Moskwie odbyła się odprawa oficerów powołanych do pracy w dowództwie armii. Gen. Anders poinformował zebranych o obsadzie personalnej dowództwa i sztabu i ogłosił nazwiska wyższych oficerów. Przykładowo: szefem sztabu armii mianowano płk. dypl. Leopolda Okulickiego. Stan armii ustalono na 30 tys. żołnierzy. Rejonem formowania armii był okręg Buzułuku, miejsce postoju dowódcy armii wyznaczono w przysiółku Kołtubanka.

W obozach NKWD dla jeńców polskich już od 23 sierpnia trwały prace komisji rekrutacyjnych i do 12 września zakwalifikowały one do armii 24 tys. 828 jeńców wojennych i internowanych.

Co ciekawe, 273 osobom narodowości niemieckiej odmówiono rekrutacji, a 252 odrzuciły akceptację. Łącznie wcielono 25 tys. 115 osób, w tym 960 oficerów. „Okolo 80 proc. rekrutów - pisze Kalbarczyk - było w fatalnej kondycji fizycznej. Wielu z nich straciło połowę wagi. Co czwarty był chory na świerzb”.

Zaopatrzenie wojska polskiego pochodziło głównie z dostaw amerykańskich i brytyjskich (Lend-Lease), a mimo to Rosjanie nie chcieli zgodzić się na podwyższenie stanów liczebnych wojska.

Rosyjski okres epopei armii polskiej zakończył się w okresie ofensywy niemieckiej na Kaukaz i bitwy o Stalingrad. To wtedy gen. Anders uzyskał zgodę Stalina na ewakuację już sformowanych oddziałów do Iranu. **margra**

Polska powalczy o punkty eliminacji MŚ 2026

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 zespół

prowadzony wówczas jeszcze przez Michała Probierza szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po голу Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Południowej.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Golubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie

w marcu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać

za darmo w niedzielę od godziny 20.45 na kanałach TVP1 oraz TVP Sport. Studio przedmeczowe na tej drugiej antenie rozpocznie się już o godzinie 18.45. Spotkanie prosto z trybun stadionu w Kownie skomentują Jacek Laskowski i Grzegorz Mielcarski.

Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport.

©P

Donatas Vencevicius: Jan Urban to super trener i świetny człowiek

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Donatas Vencevicius ma sporo związków z Polską. Grał w Polonii Warszawa i Górniku Łęczna, a także udzielał się w roli szkoleniowca. Rozmawiamy z nim przed meczem Polska - Litwa.

Jak oceniasz szanse Litwy w rewanżu eliminacji mistrzostw świata 2026 z Polską?

Litwie lepiej gra się z lepszymi zespołami, niedawno powalczyła z Holandią, w marcu postawiła się Polsce, urwała punkty Finlandii, pamiętamy wcześniejsze niezłe potyczki z Węgrami i Serbami. W takich meczach bazujemy na obronie i kontratakach, ale nie ma się co oszukiwać - Polska jest zdecydowanym faworytem, a o różnicy potencjałów piłkarskich nie ma nawet co wspominać. Byłem na pierwszym meczu Polski z Litwą w tych kwalifikacjach i muszę przyznać, że nie widziałem waszego gorszego występu. Pod wodzą Jana Urbana zmienił się obraz waszej reprezentacji, nowy selekcjoner dał zespołowi energię, przebudził go. Byłem kiedyś na stażu u niego w klubie i muszę przyznać, że to super trener i człowiek z silną osobowością. Jego styl bycia jest ujmujący, piłkarze pójda za nim w ogień. Już wrześniowe mecze z Holandią i Finlandią pokazały, że Polska znów obrała dobry kurs.

Świadectwem postępów litewskiej kadry jest osoba Gvidasa Gineitisa?

To pomocnik odgrywający poważną rolę w Torino - dobrym klubie, umiemy grać w piłkę. Litwa potrzebuje takich kilku, ale cieszymy się z niego bardzo i liczymy, że inni będą czynić postępy. Nasza piłka, mimo wielu problemów, szczególnie

związanych z infrastrukturą się rozwija, na pewno jednak szkoda, że żaden z klubów nie zakwalifikował się do fazy ligowej europejskich pucharów. Liczyliśmy zwłaszcza na Žalgiris Wilno. Polska to inny świat - wspaniała frekwencja na znakomitych stadionach, kapitalna otoczka wokół piłki. Miło patrzeć, jak się to u was rozwija, obecnie infrastruktury zazdrości wam wiele krajów świata.

Masz dużo związków z Polską, a czy za szczególnie uważasz, że zadebiutowałeś w reprezentacji Litwy z meczu w Ostrowcu Świętokrzyskim?

Nie zapomnę podróży autokarem przez całą noc, przybyliśmy do Ostrowca nad ranem, by zmierzyć się z silną wówczas personalnie Polską z Romanem Koseckim, Andrzejem Jusko-wiakiem, Tomaszem Wałdochem. Nie mieliśmy w tym spotkaniu nic do powiedzenia, ale cieszyłem się niesamowicie z debiutu w barwach ojczyzny, która niedługo wcześniej odzyskała niepodległość. Dla mnie występy w reprezentacji Litwy były sprawą honoru, na spotkanie z Portugalią w 2004 roku udałem się, gdy rodziła mi się córka. Selekcjoner był mi gotów dać wolne, ale żona powiedziała, że bym jechał i jej posłuchałem. Zdobyłem z karnego gola i miałem możliwość zmierzenia się z plejadą gwiazd - z Luisem Figo i Rui Costą na czele, a z ławki wszedł niezniszczalny Cristiano Ronaldo. W kadrze strzeliłem dwa gole, oba znanym golkiperom - Jensowi Martinowi Knudsenowi z Wysp Owczych, który zasłynął bronią w wełnianej czapce i tym, że przyczynił się do sensacyjnej wygranej z Austrią w 1990 roku oraz Ricardo, wicemistrzowi Europy z 2004 roku. Mecz z Polską obejrzą na żywo w Kownie. ©P

REKLAMA

0011413365

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

ALUPROF
GRAMY FAIR
z NATURA

www.aluprof.com/dom

SPORT

www.sportowy24.pl

MKS Lublin przegrał z mistrzyniami Polski. „Chcemy dalej walczyć”

Krzysztof Szuptarski
k.szuptarski@kurierlubelski.pl

PIŁKA RĘCZNA. Szlagier 6. serii ORLEN Superligi Kobiet pomiędzy drużynami KGHM Zagłębie Lubin, a PGE MKS EL-Volt Lublin zakończył się triumfem gospodyń 33:29.

Porażka z „Miedziowymi” spowodowała, że podopieczne trenera Pawła Tetelewskiego tracą już sześć oczek do mistrzyń Polski. To zarazem druga przegrana lublinianek w kampanii 2025/26 po zaledwie sześciu rozegranych kolejkach.

- Mamy do siebie trochę żalu i pretensji, gdyż w dużej mierze podaliśmy dłoń Zagłębiu. Rywalki wyprowadzały kontry, zdobywały z tego bramki, ale głównie po jakichś naszych głupich i nieprzemysłanych decyzjach oraz błędach własnych - mówi Paweł Tetelewski, szkoleniowiec PGE MKS EL-Volt. - Musimy nad tym cały czas pracować. Na pewno jednak nie można dziewczynom odmówić charakteru, bo walczyły naprawdę niezwykle ambitnie i był taki nawet moment w końcówce, że mogliśmy dojść Zagłębiu na dwie bramki. Niestety, ale nie udało się i to można powiedzieć zamknęło nam ten mecz - dodaje.

Na dziesięć minut przed końcową syreną lublinianki traciły trzy bramki (23:26) i wszystko w tym starciu było możliwe. Portugalka Caroline



FOT. ARCHIWUM: MICHAŁ JANEK

Martins wyczyniała w bramce cuda, jednak po drugiej stronie równie dobrze prezentowała się Barbara Zima. Pięć minut później team trenerki Bożeny Karkut odskoczył jednak na 30:24.

- Na pewno nie zwiesimy teraz głów, bowiem jeszcze cały sezon przed nami. Zamierzamy dalej walczyć, wygrywać, zdobywać punkty, a porażka w Lublinie nie zmieni tego, że się poddamy - podkreśla Aleksandra Rosiak, rozgrywająca MKS. ©

KGHM Zagłębie Lubin - PGE MKS EL-Volt Lublin 33:29 (16:13)

KGHM: Malczkiewicz, Zima - Janas 7, Jakubowska 5, Fernandes 5, Weber 5, Kochaniak 4, Drabik 3, Cesaro 1, Matieli 1, Grzyb 1, Fraga 1. Kary: 14 min. Trener: Bożena Karkut.

MKS: Martins - O'Mullony 7, Lima 6, Szynkruk 5, Rosiak 3, Gliwińska 2, Góma 2, Przywara 2, Andruszak 1, Planeta 1, D. Więckowska. Kary: 10 min. Trener: Paweł Tetelewski

PIŁKA NOŻNA

Górnik Łęczna rozbił Stal Rzeszów w meczu kontrolnym Zielono-czarni, odkąd trenera Macieja Stolarczyka zastąpił Daniel Rusek, odblokowali się. Po ligowym zwycięstwie 2:0 nad Miedzią Legnica przyszła sparingowa wygrana z innym pierwszoligowcem, Stalą Rzeszów. Wczorajszy test łącznie wygrali 4:0. Bramki zdobyli Bekzod Akhmedov, Marcel Masar i Kamil Orlik, a jedno trafienie było samobójcze.



FOT. ARCHIWUM: SZUBI

KOSZYKÓWKA

Puchar Europy i liga krajowa Wczoraj wieczorem zawodniczki AZS UMCS Lublin zagrały w Belgii w Pucharze Europy z Basket Namur Capitale. W niedzielę o godzinie 16 podejmą w ramach polskiej ligi Artego Bydgoszcz.

Transmisja z lubelskiej pływalni w prawie 60 krajach

Kamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

PŁYWANIE. 2 grudnia w Aqua Lublin rozpoczną się pływackie mistrzostwa Europy na krótkim basenie, które będzie można obejrzeć w prawie 60 krajach.

- Przyjadą najlepsi zawodnicy na naszym kontynencie. Bardzo się cieszę, że po czternastu latach wielka impreza wraca do naszego kraju - mówiła Otylia Jędrzejczak (na zdjęciu), prezes Polskiego Związku Pływackiego, podczas wczorajszej konferencji prasowej w lubelskim ratuszu.

Ostatnio Polska była gospodarzem ME w 2011 roku, wówczas odbywały się one w Szczecinie. Teraz kolej Lublina, gdzie o medale powalczą kilkuset zawodników.

- Aqua Lublin jest jednym z lepszych obiektów w kraju. Pod kątem liczby miejsc siedzących największe są Lublin i Poznań, ale Poznań nie miał takiego zaplecza jak Lublin, mający przy sobie halę MOSiR Zdzisława Niedzieli. My podczas mistrzostw nie będziemy wykorzystywali tylko pływalni, ale też halę obok, gdzie będą m.in. strefy przygotowania startowego - zauważa Otylia Jędrzejczak. - Mamy też, jako PZP, wieloletnią dobrą współpracę z miastem. Do tego dochodzi lokalizacja, połączenie lotniskowe z Lublinem czy bliskość lotniska



FOT. BARTEK WOJTOWICZ/MATERIAŁY PRASOWE

ME zakończą się 7 grudnia, a trzy dni później zaczną się kolejne: w kategorii „Masters”

w Warszawie. To wszystko miało znaczenie w tym, że Lublin, do spółki z PZP, jest organizatorem - dodawała.

Lubelska pływalnia została otworzona w 2015 roku. Szybko stała się jednym z głównych miejsc przeprowadzania imprez krajowych, kilkakrotnie goszcząc Głównie Mistrzostwa Polski, czy zmagania z cyklu Grand Prix Pucharu Polski.

- Dziękuję pani prezes i Polskiemu Związkowi Pływackiemu za zaufanie. Lublin jest miastem sportu. Wspieramy sport, promujemy się poprzez sport i mistrzostwa Europy

z tego punktu widzenia dla Lublina są bardzo ważne. Są ważne dlatego też, że przekładać się będą na rozwój turystyki - podkreśla Krzysztof Żuk, prezydent Lublina. - Mamy nadzieję, że dla wielu młodych pływaków będzie to ciekawe doświadczenie. Będą mogli obserwować najlepszych zawodników i się od nich uczyć, co jest dla nas ważne - uzupełniał.

Wydarzenie rozpocznie się 2 grudnia, ale zawodnicy z trenerami i całym zapleczem przyjadą wcześniej. Hotele wypelnione będą już od 28 listopada.

- Nie sposób w Lublinie będzie nie zauważyć tej imprezy. Od 28 listopada do 14 grudnia nasze miasto będzie tętniło życiem, ze względu na przyjazd zawodników i sztabów - cieszyła się Beata Stepianiuk-Kuśmierzak, zastępczyni prezydenta Lublina. - Wiemy, że zawodnicy będą spędzać też czas poza pływalnią, w przestrzeni naszego miasta. Chcemy potraktować ich również jako turystów i zapewnić atrakcje pod różnym względem, żeby ten nasz piękny Lublin zwiedziali - przyznawała. ©

Lublin od jutra stolicą polskiej siatkówki

Kamil Wojdat
k.wojdat@kurierlubelski.pl

SIATKÓWKA. Bogdanka LUK Lublin, PGE Projekt Warszawa, JSW Jastrzębski Węgiel i Cisterna Volley (Włochy) staną do walki o triumf w Bogdanka Volley Cup. im. Tomasza Wójtowicza.

- Myślę, że to będzie wspaniałe widowisko sportowe - mówił Jakub Czaban, dyrektor turnieju, który został zapoczątkowany w 2022 roku. Wówczas najlepsza okazała się ekipa lu-

belska, która w finale pokonała włoską ekipę WithU Verona. Drugą i trzecią edycję imprezy wygrały zespoły z Włoch: Saturnia Catania i Sir Safety Perugia.

- Mam wrażenie, że w tym momencie turniej ma swoją renomę w Europie, co niezmiernie nas cieszy. Kiedy odzywamy się do włoskich drużyn, to w zasadzie nie musimy się przedstawiać. Każda drużyna, każdy trener, prezes, zna turniej i niekiedy czeka na zaproszenie. Turniej ewoluuje. Co roku staramy się podwyższać

poziom organizacyjny i poziom jego dostępności dla mieszkańców naszego miasta, w czym pomagają nam partnerzy, telewizja i radio - zauważa Paweł Markiewicz, prezes Fundacji Rozwoju Lubelskiej Siatkówki im. Tomasza Wójtowicza.

W sobotę rozegrane zostaną półfinały, w których Bogdanka zagra z Jastrzębskim (godz. 17), a Projekt z Cisterną (godz. 19:30). Zwycięzcy w niedzielę o godz. 18 powalczą o złoto, a ich mecz poprzedzi konfrontacja o brąz (15:30).

- Głównym naszym celem jest przypomnienie, oddawanie hołdu Tomaszowi Wójtowiczowi, legendzie światowej siatkówki. Chcemy podkreślać, że jest z województwa lubelskiego, z miasta Lublin. To jest dla nas najważniejsze. Myślę, że dzięki naszym patronom medialnym i telewizji Polsat Sport możemy spełniać naszą misję - podkreśla dyrektor Czaban.

Bilety na trybuny hali Globus sprzedają się w komplecie, transmisja na sportowych antenach Polsatu. ©



FOT. ARCHIWUM: WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Przed rokiem siatkarze Bogdanki zajęli trzecie miejsce. Jak mistrzom Polski pójdzie tym razem?